Nr. 47. Warszawa, dnia 9 (21) Listopada 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BISMARCK PRZED SEJMEM.

Cała cześć, jaką Niemcy otaczają twórcę swej jedności, nie zdołała go ochronić od pociągnięcia przed kratki sejmowe za owe historyczne zwierzenia w *Hamburger Nachrichten* z d. 24 października. Stronnictwa, które wobec jaskiniowego smoka nie drętwieją, znalazły w sobie teraz odwagę do roztrząśnięcia jego czynów w najwyższej radzie narodowej. Katolicka *Germania* zaraz po odkryciu napisała, że wzburzona do głębi opinia publiczna nie może płazem puścić shańbienia Niemiec; naród ma prawo dopomnieć się u rządów związkowych wyjaśnienia wątpliwości i uspokojenia ludów trójprzymierza. Zaledwie zebrał się sejm cesarstwa, centrum, poparte przez wolnomyślnych, wniosło interpelacyę: Czy do roku 1890 istniał rzeczywiście między Niemcami a Rosyą układ tego rodzaju, o jakim mowa w zwierzeniach? Jeżeli istniał, dlaczego nie odnowiono go w r. 1890? Jaki wpływ odkrycia bismarkowskie wywrzeć mogły na stosunki państw sprzymierzonych? Śmiałość takich pytań w Niemczech była prawie zuchwalstwem. O polityce zagranicznej rozprawiał w sejmie dawniej sam tylko Bismarck, naród tylko słuchał. Teraz naród sam pyta, sam chce rozprawiać! Śmiałość przecież złagodzono czołobitnością. Deputowany Lieber, z tego samego stronnictwa, do którego należy autor interpelacyi, baron Hompesch, w przeszłym tygodniu w Wiesbadenie rzucił hasło: Bismarck występuje przeciwko cesarzowi. Interpelanci zatem bronią tylko cesarza, gdy ostrzą języki swe na Bismarcka.

Interpelacya zajęła pierwsze miejsce w porządku dziennym z d. 16 b. m. Zapytane rządy związkowe odpowiedź swą ułożyły na dwa głosy: najpierw ks. Hohenlohe, kanclerz, potem p. Marschall, podkanclerzy. Książę zaczął od tego, że umowa była, i że ją za tajemnicę stanu uważano. Pobudki, które nie pozwoliły (Capriviemu) jej przedłużyć, musiały być ważne. W stosunkach z Rosyą nie ma zmian niekorzystnych, pomimo ustania umowy. Poddawanie się (Capriviego) wpływom angielskim jest mniemaniem bez podstaw. Po odkryciach podniosła się chmura wątpliwości, ale trwało to tylko chwilę; stosunek Niemiec do trójprzymierza polega na żywem bezwzględnem, a wzajemnem zaufaniu; z Rosyą po dawnemu pożycie dobre, przyjacielskie.

Marschall rozwinął tezę — dwie tezy. Zarzucają polityce niemieckiej, że przed r. 1890 uwikłała się w umowy sprzeczne z trójprzymierzem, a po r. 1890 zrzekła się tej ważnej rękojmi pokoju, jaką musiało dawać zobowiązanie się Rosyi do neutralności w razie uderzenia Francyi na Niemcy. Pierwszy zarzut jest niesprawiedliwym, boć tak samo trójprzymierze, jak i będące tajemnicą stanu porozumienie się z Rosyą, miały cel wspólny: utrzymanie pokoju; zarówno duch, jak forma cel ten jasno rozpalają. Sprzeczności zatem niema: wolno było, mając już jedną umowę, zawrzeć drugą.

Sekretarz stanu do spraw zagranicznych tak skruszywszy kopię za Bismarckiem, wziął zaraz drugą i skruszył ją za Caprivim. Zarzucają, że gdy umowa o neutralność dawała pewną reasekuracyę, błędem zatem było jej nieodnowienie w r. 1890. P. Marschall ma cały podziw dla bystrej idei, która wydała z siebie układ reasekuracyjny, ale wątpi: zali wraz z liczbą przymierzy rośnie i ich wartość. W przymierzu najważniejszą jest ufność wzajemna, na przekonaniu o wspólności interesów oparta. Przy układzie, przewidującym wystąpienie zaczepne z zewnątrz, gotowość do współdziałania zależy od tego, czy się sprzymierzeńca swego za zaczepionego uzna. Mogły się stosunki tak powikłać, że Rosya zażądałaby od Niemiec neutralności, Austrya zaś—pomocy orężnej. Gorzej jeszcze ona również mogła poszukać dla siebie reasekuracyi, a wtedy w cóżby się obróciło całe trójprzymierze?

Dotychczas nie wiemy, czy i jak obronił się pustelnik w Wilhelmshöhe od zarzutu niebezpieczeństwa takiej polityki wśród najserdeczniejszych uścisków niezapominającej o *„zwei Eisen im Feuer“* — ulubione wyrażenie Bismarcka. Ale sam Marschall starł czemprędzej to, co napisać musiała najpospolitsza logika, wyciągająca wniosek z danej prawdy. Wielką była sztuka dyplomatyczna księcia — mówił sekretarz stanu — tak wielką, że nie potrzebuje żyć małością swego następcy. Nie godzi się Capriviego szarpać, ani tem nieprzedłużeniem umowy, ani wrzekomymi wpływami angielskimi, których wręcz nie było.

Zdaniem barona Marschalla, żadnego zgoła pozytywnego pożytku nie przyniosłoby porównywanie stosunków z Rosyą za czasów obowiązującej neutralności z obecnemi. Bismarck w każdym razie umiał pływać po wzburzonem morzu. Ale wła-

śnie o jego wielkości złe miałby wyobrażenie ten, ktoby sądził, że w r. 1890 dobre stosunki z Rosyą opierały się tylko na tej „kruchej“ podstawie, jaką dawała ujawniona teraz umowa. Są podstawy mocniejsze: jest przyjaźń Domów Panujących, jest miłość pokoju obustronna, jest wiele wspólnych, a nie ma żadnego sprzecznego interesu. Dzięki temu już po r. 1890 Niemcy z dobrym skutkiem starały się o dobre stosunki i w tych staraniach cieszyły się wzajemnością. Bezzasadnem jest ustalanie przyczynowego związku między zespoleniem się francusko-rosyjskiem a nieodnowieniem umowy niemiecko-rosyjskiej w r. 1890. W całem odkryciu, pomimo całego podziwu dla Bismarcka, niepodobna się dopatrzeć—słowa Marschalla—praktycznego celu. Polityka niemiecka ma drogę jasną: trzymać się „niezłomnie“ przymierzy z Austryą i Włochami, pielęgnować przyjacielskie stosunki z Rosyą i z innemi mocarstwami i być zawsze gotową do rzucenia potęgi własnej na szalę pokoju. Oto droga.

Sejm przyjął oklaskami i ową niezłomność w przymierzu i tę potęgę, służącą za tarczę dla pokoju. Wzgląd na sprzymierzeńców nie pozwolił odmówić odpowiedzi narodowi w sejmie; wzgląd ten również natchnął i zapewnienia uspokajające obawy Austro-Węgier i Włoch. Marschall nie uląkł się smoka: wielkość Bismarcka na wyjaśnieniach urzędowych nic nie zyskała.

Tydzień polityczny. Sejm cesarstwa niemieckiego zajmował się d. 16 b. m. rozpatrzeniem wartości tajemnego układu Bismarcka z r. 1884 i wpływu odkrycia *Hamb. Nachrichten* na trójprzymierze. Od rządów związkowych przemawiali i kanclerz i sekretarz stanu do spraw zagranicznych. Ks. Hohenlohe pokazał się tylko, aby powiedzieć, że jeszcze jest: odpowiedź właściwą dał sam Marschall. Od narodu głos zabierali, prócz interpelanta Hompescha, Lieber, Richter, Liebknecht, Enneccerus i inni, pomniejsi. Tylko mowy czterech pierwszych mają wagę logiczną; ślepy wielbiciel Bismarcka, Enneccerus — plótł koszałki opałki. W Wiedniu zadowoleni są z wyjaśnień Marschalla. *Times* stwierdza ścisłość ogniw trójprzymierza i spodziewa się ustania posądzeń, uwłaczających Anglii.

Sejm zajmuje się teraz pojedynkami, istną plagą narodową. D. 17 b. m. ks. Hohenlohe zawiadomił o opracowywaniu przepisów *przeciw* pojedynkom w armii, przyrzekł obostrzenie przepisów o sądach honorowych, wezwał do cierpliwości. Minister wojny, Gossler, mówił o wypadku zarąbania obywatela Siepmanna w Karlsruhe przez oficera Brusewitza. Innego znowu oficera sąd skazał, ale cesarz uniewinnił. Było stąd wrzenie i przedostało się do sejmu. Wolnomyślny Munckel wytoczył sprawę. Ostatecznie, prawodawstwo ma poprawić obyczaje, które samo najczęściej psuje.

W W. Ks. Poznańskiem rozkaz gabinetowy zniósł dotychczasowe barwy prowincyonalne: amarantową i białą, i zaprowadził czarno-żółto-białą.

Włosi nareszcie mają pokój z Abisynią. Zawarł go jeszcze przed przybyciem Vallesa major Nerazzini, od wielu lat do stosunków z Menelikiem i rasami używany, d. 26 października. Traktat znosi umowę w Uczyjali. Wojna ustaje: przyjaźń i wieczny pokój. Granicę ostateczną wyprowadzą komisarze; tymczasem będzie nią linia Mareb-Belesa-Muna. Każda strona od siebie zawiadomi mocarstwa o pokoju: Abisynia wyzwala się z więzów uczyjalskich; żyje i występuje samodzielnie, bez opieki Włoch. Menelik zwraca jeńców, zaraz po ratyfikacyi, a wysłał ich już do Harraru zaraz po umowie. Włochy zwracają koszty utrzymania, których Menelik nie oznaczył, ale obie strony później już ustanowiły na 10 mil. lir. Wszystkie rządy powinszowały Włochom takiego podsumowania klęski pod Aduą. Prasa europejska i włoska wtóruje; tylko niezadowoleni z Rudiniego nie przestają majaczyć o hańbie.

We Francyi Méline d. 16 b. m przegral sprawę o reformę wyborów do senatu. Izba utrzymała porządek dzienny i uchwaliła przejście do rozpraw szczegółowych nad projektem Trouillot'a, aby zawieść oczekiwania p. Barthou, ministra spraw wewnętrznych, że nie wyguzdrze się nawet na luty. Już nazajutrz cały projekt był uchwalony 297 głosami przeciwko 238. Meline, zatrwożony, przywdział [illegible] będzie uczciwie popierał reformę w senacie. Pokorę nagrodziła Izba uchwaleniem votum zaufania 311 głosami przeciwko 241.

Odgrzebano sprawę Dreyfussa. Jakiś Lazare wydał broszurę o niewinności zdrajcy. Rząd go ściga za ogłaszanie dokumentów urzędowych.

Lewica niemiecka w Przedlitawii pękła: 70 tylko zostało z dawnej setki; 27 posłów z Czech i Moraw wytworzyło odrębne stronnictwo — bardziej niemieckie. Będą oni teraz rzucali p. Badeniemu kamienie pod nogi, a jednocześnie i Młodoczesi będą na nim odbijali się za gorączkę niemiecką. Obecna Rada państwa obradować będzie do stycznia. Ugodę dostanie do zgryzienia już nowa. Sejm węgierski zbiera się w tych dniach.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA OBŁĄKANYCH.

I.

Przed kilku tygodniami w Lublinie przy Towarzystwie dobroczynności otwarto przytułek dla kobiet obłąkanych, dzięki staraniom Maryi ks. Woronieckiej. Fakt ten notujemy ze szczególnym naciskiem, bo chociaż nie posiadamy ścisłej statystyki, któraby pozwoliła zestawić cyfry kobiet i mężczyzn obłąkanych w naszym kraju, wiemy wszakże, że jednych i drugich jest tak dużo, iż społeczeństwo dotkliwie odczuwa ten ciężar ludzi nieszczęśliwych, nieprodukcyjnych, wymagających opieki moralnej i materyalnej. Szczególnie opłakane położenie jest kobiet, dotkniętych obłędem. Pełno ich wszędzie, i w wioskach, i miasteczkach, i na drogach publicznych w każdej porze roku. Ludność uboga częstokroć wyrzeka się ich, nie przyznaje się do pokrewieństwa, może nie tyle pod wpływem stępienia uczuć ludzkich, ile pod naciskiem ciężkich warunków bytu, wobec których utrzymywanie jednostki nieprodukcyjnej, a nadto pozostawianie przy niej drugiej, zdrowej, zdolnej do pracy, jest po prostu ruiną.

Co jednak zrobić z tą wielką masą chorych, dla których brak jest odpowiednich zakładów? A zresztą czy same zakłady są jedynym środkiem zażegnania złego? Chcąc je znacznie złagodzić, należałoby nietylko wznosić domy dla obłąkanych, lecz jednocześnie starać się, przynajmniej o ile na to warunki dzisiejsze pozwalają—zapobiegać obłąkaniu. Takie atoli przeciwdziałanie społeczne można rozwinąć prawidłowo tylko przy odpowiedniem obeznaniu się z warunkami i źródłem choroby. Pod tym względem zdaje się u nas najmniej czyniono poszukiwań.

G. DANIŁOWSKI.

NA SPACERZE.

Słuchaj, ty przecież masz coś swego; samoistność nie grozi ci śmiercią; dlaczego więc do duszy swojej przykleiłeś tak bezmyślnie etykiety materyalizmu? Nie myśl, że mam jakąś szczególną niechęć przeciw tej teoryi. Mam przeciw niej tyleż samo, ile przeciw każdej innej, albo raczej — nie mam nic. Wszystkie teorye i doktryny są dla mnie równie złe lub dobre, co wolisz, gdyż posiadają one dla mnie tylko znaczenie rusztowań. Dobry majster na najlichszem—ale dla niego wygodnem — wznosi gmach prawdy i piękna. Fuszer z najlepszego spadnie. A co gorsza, nie dojrzy gmachu, tylko rusztowanie, zacznie do niego przylepiać gipsowe gzymsy, zeszpeci, zepsuje cały styl, zasłoni gmach — aż przyjdzie znowu genialny budowniczy, rozpędzi nieudolną hałastrę i całą budę rozwali. Nie do teoryi więc, ale do ciebie mam urazę, żeś wlazł nie na swoje rusztowanie i wisisz na niem, jak pies na płocie, że idziesz błędną, bo nie swoją drogą, że stroisz się w suknię, która do ciebie zupełnie nie pasuje...

— O czem ty mówisz? — spytałem.

— O tem, że mi duszno jest, że już mi do żywego dojadła ta moda i model we wszystkiem, te kopyta, na których się szyją nietylko buty, ale ideały, przekonania, nauka i piękno. Te wzory, w które każdy wtłacza swe życie, i czyni zeń naśladownictwo życia, wtłacza swe szczęście, a gdy mu w tej formie kostnieje, on robi minę szczęśliwą; ten szablon, według którego okrawa się większe serce i dusza, a do którego się mniejsze rozdyma. A zresztą, co mi tam do tego! Szkoda słów, szczególniej, że ja nie noszę ich, jak inni, w gardle — ale muszę po nie cokolwiek głębiej i dalej iść. Zły jestem— boś mnie dotknął, smutno mi — że i ty kłamiesz.

— Ja? — spytałem szczerze zdumiony.

— Ty! — właśnie. Wczoraj wpadł mi w ręce jakiś twój artykuł: Miłość — artyści i coś tam... Potrącasz w nim kwestyę miłości i oczywiście jako wierny niewolnik swej teoryi, główny, podstawowy, jedyny prawie pierwiastek tego uczucia znajdujesz w zmyśle. Drwisz nawet ostro z tych „nieśmiertelnych hymnów, które u jej ołtarzy palą artyści.“ Cytuję twoje słowa. A jeśli chcesz usłyszyć moje zdanie, to powiem ci, że o ile jest trudno „hymn palić,“ o tyle cała twa rozprawa jest głupia.

— Pozwól... — zacząłem.

Wkraczaliśmy w bramę Łazienek. Tłum wychodzący rozdzielił nas na chwilę. Pierwsze grzechotki warczały wokoło. Zeszliśmy się znowu. Stach ciągnął dalej, dziwnie rozdrażniony:

— Powiedziałem: głupi! — podwójnie nawet, bo nie masz słuszności objektywnie, a subjektywnie tem bardziej, gdyż mówiąc tak, nie jesteś sobą. Okłamujesz innych i siebie.

— Pozwól... — zacząłem.

— Nie, mój drogi, nie lubię dysput — zwłaszcza, że nie potrafię ci dowieść, iż masz inną duszę, skoro zechcesz pozować i udawać. A będziesz tak robił z pewnością. Primo — z przyzwyczajenia... secundo — dla przyjemności postawienia na swojem.

— Słuchaj, — przerwałem — w takim stosunku, jak masz...

— Nawet w stokroć szczerszym, fałsz i obłuda — to kardynalne wady każdego niewolnika.

— Dajże mi dojść do słowa — odparłem żywo — zwróć uwagę, że pisałem to przed dwoma laty, że t[illegible]ydaje mi się ta

Za granicą, gdzie statystyka jest zorganizowaną, wykazano znamienne zjawisko: większą liczbę wypadków obłąkania śród kobiet niezamężnych i mężczyzn nieżonatych, niżeli śród mężatek i żonatych. W r. 1883 w Bawaryi druga kategorya dała 19% ogółu obłąkanych, gdy pierwsza aż 81%. W Prusiech 1882 r. na 10,000 mieszkańców przypadało obłąkanych mężczyzn nieżonatych 33, kobiet niezamężnych 29, żonatych 9,5, tyleż mężatek, wdowców 38, wdów 25. W szpitalu paryskim „de la Salpetriere“ z liczby 1,726 kobiet obłąkanych 1,276 było niezamężnych. Krafft-Ebing dowodzi, iż największa liczba kobiet niezamężnych ulega obłędowi w pełni rozwoju fizycznego, tj. między 25 a 35 rokiem życia. Śród mężczyzn wypadki obłąkania zdarzają się między 35 a 80 rokiem życia, tj. gdy walka o byt bywa najuciążliwszą.

Pomijając dziedziczność, względy fizyologiczne, na które specyaliści kładą nacisk, uważamy za najważniejsze—społeczne. Fizyologowie widzą przyczynę obłąkania kobiet niezamężnych w nienormalnem życiu płciowem. Nam się zdaje, że tu nierównie większą rolę gra troska i częstokroć nad siły walka o byt kobiet niezamożnych, które pozbawione opieki — męża, oddają się ciężkiej, licho płatnej pracy. Po za tem do kategoryi kobiet niezamężnych zapewne są zaliczone „złego prowadzenia,“ dotknięte syfilisem i alkoholizmem, a wiadomo przecie, że te dwa czynniki są najprzyjaźniejszem tłem obłąkania, że prześladują ludzkość od wieków i obarczają dziedzicznie.

Co do opieki i środków utrzymania tych ofiar bytu, istnieje kilka typów urządzeń. I tutaj w samem pielęgnowaniu niepośledną rolę powinny grać czynniki społeczne — pochodzenie choroby. Te właśnie czynniki były wzięte pod uwagę na ostatnim zjeździe lekarskim imienia Pirogowa w Kijowie. Między innemi położono tam szczególny nacisk na sposób obchodzenia się z chorymi i przyznanie większego znaczenia środkom moralnym, niż apteczno-lekarskim. Wogóle w ostatnich czasach daje się zauważyć odsuwanie coraz bardziej na dalszy plan wszelkich medykamentów w szpitalach dla chorych psychicznie, a natomiast dążność do wprowadzenia możliwie najstaranniejszej opieki. Metody fizyczne, jak elektroterapia, hydroterapia, odgrywają jednak ważną rolę w kuracyi. Na pierwszym atoli planie zawsze stać musi urządzenie szpitalne i opieka właściwa.

Obecnie istnieją trzy typy zakładów: pierwszy — dla ciężko chorych, wymagających starannej, systematycznej kuracyi środkami aptecznymi lub czynnikami fizycznymi, mięsieniem, elektrycznością, wannami, prysznicem itd. Szpitale te służą także dla furyatów, ludzi brudnych, nieobliujnych i niechcących przyjmować pokarmów. Do wymagań, *odczutych* w dobie dzisiejszej, należą: możliwie największy komfort zakładu, najbardziej urozmaicone rozrywki dla chorych, rozsądni, cierpliwi i sumienni zarządzający i cała służba. Tam gdzie zdałano dobrać odpowiednich ludzi, umiejętnie obchodzących się z chorymi, są już zbyteczne nawet takie środki, jak związywanie furyatów i nakładanie im kaftanów. Stworzono osobny system leczenia za pomocą niekrępowania chorych. Taką metodę posunięto w najnowszych czasach jeszcze dalej: zaczęto zostawiać drzwi zupełnie otwarte, z wyjątkiem zewnętrznych. Dzięki temu chorzy nie odczuwają niewoli, nie doznają wrażenia, że są uwięzieni; mają możność komunikowania się z sobą.

Niezmiernie ważnym warunkiem leczenia, na który w ostatnich czasach szczególną uwagę zwrócono, jest wprowadzenie robót, najbardziej odpowiadających usposobieniu, zdolnościom i rodzajom choroby umysłowej. Dotychczasowe próby w tej mierze dały bardzo pomyślne wyniki. Ową metodę zastosowano przedewszystkiem w zakładach drugiego typu, tj. koloniach rolnych dla chorych na umyśle. Instytucye te bardzo są upowszechnione w Europie zachodniej i Ameryce i z każdym rokiem rozwijają się coraz bardziej. Stały się one nietylko środkiem leczniczym, ale w wielu razach nawet znamienną cząstką organizacyi kapitalistycznej, eksploatującej energię fizyczną obłąkanych. Tak np. kolonia pod Clermontem we Francyi, licząca 1,500 pensyonarzów, dała wielkie zyski dwom braciom przedsiębiorcom. Chorzy w takich koloniach są oddani pracy na roli, fermach, doglądają inwentarza, uprawiają różne rzemiosła, słowem spełniają bardzo dobrze wszelkie czynności fizyczne, jak i ludzie zdrowi. O ile instytucya pozostaje w rękach prywatnych, pensyonarze ci są niejako dwunożnym inwentarzem żywym, siłą pociągową, pracującą niemal za koszt utrzymania. Kolonia zwykle posiada lecznicę, do której są oddawani chorzy niesforni, ujawniający skłonność do awantur, albo wogóle z natury swej choroby wymagający warunków szpitalnych. Dokoła lecznicy stoją baraki dla pensyonarzy. Organizacye tego rodzaju są bardzo pożądane ze względu na zbawienną metodę leczenia; ale należałoby od nich całkiem usunąć ludzi prywatnych i nadać charakter społeczno-państwowy. W ostatniem dwudziestoleciu Rosya zdobyła się na kilka takich zakładów, mianowicie: w pobliżu Tweru istnieje kolonia buraszowska od r. 1884, druga w Kołmowie (gub. Nowogrodzka), trzecia w Galenczynie (gubernia Razańska), czwarta w gub. Chersońskiej i jeszcze w innych miejscowościach, których na razie nie pamiętamy.

Trzeci typ stanowią tak zwane *patronage familial* — opieka domowa nad chorymi. Początek tej formie organizacyi dała kolonia Gheel w Belgii, według podań sięgająca aż VII wieku. Obecnie pod opieką ludności miejscowej pozostaje tam 1,500 chorych. Mieszkańcy, pełniący te obowiązki z pokolenia na pokolenie, wyrobili w sobie dar opiekowania się, umiejętność traktowania chorych. System *patronage familial* wprowadzono następnie w wielu miejscowościach Europy zachodniej

---

rzecz trochę inaczej. Nie wiem, jak jest właściwie, ale wiem, że nie zupełnie tak, jak twierdziłem. Będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli mi coś w tej kwestyi powiesz, rad, jeżeli mnie pobijesz... Szczerze pragnę na tym punkcie twego zwycięztwa, bo...

Urwałem.

Stach spojrzał mi bystro w oczy; twarz jego, na której przed chwilą gościł zjadliwy wyraz sarkazmu, złagodniała dziwnie; w smutnem, jakby zamglonem jego oku zamigotała rzewność.

— Możesz nie kończyć, stary — szepnął tkliwym głosem... — To dobrze, to bardzo dobrze... wybacz mi moje ostre słowa... ale tu leży moja rana.. zagojona tak słabo i przy najlżejszem draśnięciu piekąca... Z pytaniem tem wiąże się dużo mej własnej przeszłości i dużo smutku mojego, bo z myślą o tem splata się o niej wspomnienie i zrywa się nieukojony żal, że niepowrotnie odeszła...

Umilkł. W około nas chwiały się senne drzewa, wieczór uciekał przed nocą, co idąc zwolna, sypała ciszę na ziemię i bryzgała gwiazdami na niebo. Zdala dolatywał zmieszany turkot, gwar miasta i tramwajów dzwonki, a tuż obok słowik rzucał urywane tony, pełn[illegible] i tęsknoty. Szliśmy chwilę w milcz[illegible]. Przerwał je Stach.

— Widzisz, mój stary, może nie wszyscy jeszcze są zdolni kochać prawdziwie; jestem jednak pewny, że z czasem władzę tę wszyscy posiądą, bo pierwiastek idealny tkwi w każdej duszy i ciągle wzrasta. Wszak wierzysz w postęp? A dla mnie przynajmniej postęp przedstawia się w formie stopniowego zwycięztwa ducha nad ciałem. Tyś skrzywdził postęp i wszystkich, chcąc ująć ludziom tę cząstkę ich najlepszą, przez którą stają się ludźmi. Łatwiejbym zrozumiał twe zaślepienie i zaciętość niewolnika teoryi, gdybyś przemilczał artystów. Ale ty na nich zwróciłeś główną uwagę. Dziwi mnie więc, żeś tam przynajmniej nie dojrzał tego wyższego pierwiastku, który w nich występuje dość silnie. A jest, mój stary, artystów więcej, niż myślisz. Mógłbym ci wskazać nawet bardzo wielkich, których nikt o to nie podejrzywa, nawet sami oni o tem nie wiedzą. Są to pewnego rodzaju niemowy, śpiewacy, którym dano wszystko, prócz głosu. Różnią się oni od głośnych artystów tem, że kłamią — ale kłamią tak, jak kłamie powierzchnia morska i cisza odmętu, co jest spokojna i gładka, choć w głębi wrą wiry i szarpią się fale; lub kłamią tak, jak chmura, co cicho nad głową naszą przeciąga i w milczeniu ginie, choć pełna jest nawalnicy i gromów. Trudno jest im wydobyć głos, ale gdy go dobędą, to słuchać warto. Jeżeli w takim człowieku z wyjątkową wrażliwością złączy się czarodziejska niemal władza zamykania w formę słowa, barwy lub tonu uczuć i myśli swoich, staje się prawdziwy artysta, co jest jak dźwięczna arfa, która odpowiada czystem i wielkiem echem na każde zjawisko. Słowa takich ludzi są równie silne, jak ich uczucia.. Treść i forma zlewa się w jedną doskonałą całość. U nich nie może być przesady. Częściej raczej bywa naodwrót. Dzieła ich bywają czasem tylko wiernym cieniem ich ducha. Miłość ich, ubrana w słowa, jest słabszą i więcej ziemską, niż miłość ich serca. Tych trzeba było słuchać, stary, bo oni nigdy nie kłamią. Ty zapomniałeś o tem; ciebie, spętanego jarzmem teoryi, łatwo wprowadzili w błąd ci liczni żeglarze słowa, którzy przez niepojętą dla mnie wprawę doszli do tego, że umieją piękniej i silniej mówić, niż czuć. Jakkolwiek są bardzo zręczni, mogą zwieść tylko tłum; baczniejsze oko dostrzeże, że pod tą ułudną formą nie wre krew, nie tętni myśl, że jest to sztuczna, nieszczera afektacya, którą ty, rozpatrując w ich oświetleniu miłość, spostrzegłeś i rozciągnąłeś niebacznie na wszystkich. Nasłuchałeś się falszywej piosenki miłosnej; oburzyłeś się może

z mniejszem atoli powodzeniem, niż w Gheelu, niewątpliwie dlatego, że ludność nie potrafiła wyrobić w sobie tych szczególnych cech, niezbędnych do umiejętnego i ludzkiego opiekowania się. Wyjątkowo tylko w Szkocyi organizacya ta rozwinęła się należycie. Ludność przyjmuje obłąkanych najbardziej spokojnych i zdatnych do pracy. Kilka razy do roku odbywają kontrolę inspektorowie-psychiatrzy, których obowiązkiem jest zbieranie danych o pracy i jej charakterze, warunkach rodziny, życzącej sobie wziąć chorego. Płaca za tę opiekę wynosi $7\frac{1}{2}$ pensów dziennie od osoby. W ten sposób $^1/_3$ chorych ma zapewnioną opiekę.

R. 1887 dr. Korsakow, obecny profesor psychiatryi w uniwersytecie moskiewskim, podał wniosek wprowadzenia sposobem próby takiego systemu w obrębie Rosyi. Wnioskodawca znalazł podobną, całkiem przypadkową organizacyę, w pobliżu Moskwy, około klasztoru, gdzie mieszkał pewien duchowny. Śród ludności włościańskiej rozeszła się pogłoska, że umie on „odczyniać“ choroby umysłowe. Ponieważ to odczynianie trwało zwykle kilka tygodni, więc chorych umieszczano w domach poblizkich. Jakaś włościanka urządziła tam w swojej chałupie formalny przytułek, do którego mogła przyjmować od 10 do 40 pensyonarzy. Szczególna, wrodzona umiejętność obchodzenia się z nimi nasunęła doktorowi K. myśl oddania pod strzechę włościańską wszystkich spokojnych obłąkanych, których umieszczano w ogólnych szpitalach gubernialnych. Projektodawca uważa taki sposób wyjścia za niezbędny, gdyż wogóle na 250 — 500 miejsc w niektórych szpitalach przypada 6,000 chorych.

SZKOŁY DLA DOROSŁYCH.

II.

Kursy niedzielno-wieczorne dla dorosłych pod względem swego charakteru i urządzenia mają być podobne do organizacyi *Fortbildungsschulen* w Niemczech i Szwajcaryi *écoles complementaires* we Francyi i Belgii lub wreszcie klas przygotowawczych *Mechanic's Institutions* w Anglii. Między innemi do programu wykładów powinny wejść: historya, geografia, arytmetyka, algebra, geometrya, fizyka, chemia, historya naturalna, kreślenie techniczne i rysunki. Przy dowolnym wyborze przedmiotów przez słuchaczy wykłady powinny być w ten sposób urządzone, żeby można było słuchać zarazem wszystkich przedmiotów i tylko wybranych — niektórych. Zdaniem wnioskodawców, za naukę należy pobierać opłatę, chociażby bardzo skromną. Byłoby to z jednej strony bodźcem do akuratności w uczęszczaniu na wykłady, z drugiej wytworzyłoby śród warstw robotniczych większy szacunek dla nauki, która bywa lekceważona, jeżeli przychodzi darmo. P. Gatlich proponuje $1\frac{1}{2}$—2 rs. półrocznie za dziesięć godzin nauki w ciągu tygodnia i 20 kop. za jedną godzinę na tydzień. Szkoły techniczne wieczorno-niedzielne w Zurichu wprowadziły dowcipny sposób skłaniania słuchaczów do akuratnego uczęszczania na wykłady. Oto każdy zapisujący się do szkoły wnosi kaucyę niewielką, którą otrzymuje po skończeniu kursów tylko w takim razie, jeżeli regularnie oddawał się nauce; w przeciwnym wypadku suma ta przechodzi na rzecz zakładu naukowego.

Za granicą szkoły ogólnie kształcące zjednały już sobie wielką sympatyę warstw robotniczych i rzemieślniczych. Najwidoczniejszem zaś jest to w Berlinie, gdzie 17 takich zakładów liczy (według danych z r. 1893—94) 7,422 słuchaczów, czyli 39% wszystkich mężczyzn dojrzałych i wyrostków, kształcących się w miejscowych szkołach wieczorno - rzemieślniczych. Z liczby powyższej znaczną większość (84%) stanowią ślusarze, mechanicy, chemicy, kotlarze i inni, 10% handlarze i tylko 6% ludzie bez określonego zajęcia.

Trzecim typem szkół dla dorosłych są różne zakłady fachowe: techniczne, rzemieślnicze, rolnicze i handlowe. W 36 berlińskich szkołach technicznych (*Fach-Schulen*), utrzymywanych przez państwo, miasto, Towarzystwo wykształcenia niedzielnego i cechy r. 1893—94 uczyło się 4,657 słuchaczów czyli 24% wszystkich uczniów szkół niedzielno-rzemieślniczych. Są to zakłady dla piekarzów, szewców, krawców, stolarzów, kowalów, ślusarzów, tkaczów i innych. W szkołach dla szewców wykładane są: arytmetyka, zasady buchhalteryi i rysunki; dla stolarzy: rysunki z natury, rysunki techniczne, teorya instrumentów i technologia drzewa; w szkole piekarskiej: rachunki, chemia itd.; w szkole kowalskiej: rachunki i kreślenie; w kominiarskiej: arytmetyka, rysunki i fizyka. W zakresie praktycznym uczniowie kształcą się tylko w niektórych szkołach, np. fryzyerskich, introligatorskich, koszykarskich itd.

Znaczną liczbę słuchaczów ściągają szkoły rzemieślnicze (*Handwerker-Schulen*). Celem ich jest dać uczniom i czeladnikom najniezbędniejsze wiadomości. Do główniejszych przedmiotów należą: rysunki, kreślenie, modelowanie, ornamentyka, sztuka dekoratorska, matematyka, mechanika, fizyka, elektrotechnika, chemia, rachunki i buchhalterya. Wreszcie na kursach handlowych (*Kaufmannische Fortbildungschulen*), które przyciągają 8% ogółu słuchaczów, wykładane są języki: niemiecki, angielski, francuski, korespondencya, prawo wekslowe i handlowe, geografia handlowa, towaroznawstwo, stenografia, sposoby szybkiego pisania (maszyny Remingtona i inne).

Już te przykłady wskazują cel szkół fachowych, przeznaczonych dla słuchaczów dorosłych. Oprócz wykształcenia ogólnego, zadaniem ich jest dać robotnikom i rzemieślnikom pewne podstawy naukowe, które pozwoliłyby im posiąść, że tak powiemy, pewną inteligencyę w pracy, pewne uświadomienie w zakresie jej rozwoju i udoskonaleń.

Mniej więcej ten sam charakter noszą szkoły profesyonalne i w innych krajach Europy zachodniej. R. 1894 otwarto w Zurichu, kosztem związku i kantonu, klasy techniczne wieczorno-niedzielne, których celem jest rozszerzenie widnokręgu umysłowego pracowników, dostarczenie im ogólnych wiadomości technicznych ze wskazówkami zastosowania praktycznego. Wogóle w Szwajcaryi szkoły niedzielno-wieczorne, datujące się od piątego dziesięciolecia wieku niniejszego, doszły do ogromnego rozwoju. Według danych z r. 1892, było ich 2,303 z 47,442 uczniów (w tej liczbie 2,355 kobiet) i 3,260 nauczycieli. Dla mężczyzn, którzy nie skończyli pewnej kategoryi szkół początkowych, nauka w niedzielno-wieczornych jest obowiązkowa. W niektórych kantonach ostatnimi czasy obowiązkowość tę zastosowano i do dziewcząt od 16—18 lat.

Na ostatnim zjeździe profesyonalistów wyrażono szczere życzenie, ażeby taki sy-

---

nawet jej fałszem i zanóciłeś jeszcze fałszywiej. Dlaczego w swe serce, lub jeśli ono wtenczas spało, tyś w inne serca nie spojrzał? Dlaczego nie spytałeś którego z zakochanych, jak rodzi się miłość? Onby ci wskazał może te pierwsze chwile, w których wybrana przez nas istota wydaje się czemś nietykalnem, świętem niemal, bardzo ukochanem, a tak mało pożądanem. Uczucie to różni się charakterystycznie od wszelkich innych — i ono już jest miłością, choć niema w niem jeszcze żądzy, którą ty mienisz jej głównym pierwiastkiem. Potem dopiero budzą się namiętności, a że dreszcz ciała brutalniej i jaskrawie rzuca się w oczy, niż dreszcz duszy, to zwraca naszą główną uwagę — stąd błąd powszechny, stąd i twój. A jak trudno rozwikłać tę plątaninę instynktu z uczuciem — o tem wiem najlepiej. Na to trzeba być samemu u źródła prawdziwej miłości i trzeba umieć dojrzeć jej olśniewające piękno i odczuć jej rzeźwiącą i oczyszczającą moc.

Mijaliśmy właśnie pałac, przed którym w promieniach księżyca chwiała się fontanna, jak złoty snop.

Stach zbliżył się ku ławce... Siedliśmy.

— Dawno tu nie byłem — szepnął; nic się prawie nie zmieniło. Zdaje mi się, że widzę te same łabędzie i te same fale, tak samo wzdychają, jak wtenczas, gdym był tu z nią poraz ostatni.

Umilkł. Siedzieliśmy dość długo — nic nie mówiąc.

— Czy już skończyłeś? — spytałem.

Stach drgnął.

— Dziwny fatalizm! — szepnął. Przed czterema laty ona zmusiła mnie na tej ławce myśleć o tem, o czem mi dziś mówić każesz. Byłem tu z nią na krótko przed ślubem. Nad nami wisiała jasna letnia noc i dużo gwiazd; a w sercach naszych tyle się uczuć zrywało, że brakło nam słów. Całowałem w milczeniu jej ręce białe; a w jednych pocałunkach, wierz mi, drgało tylko serce i dusza, a w innych zmysłów więcej. I kiedy w porywie namiętności zacząłem ją tulić do piersi, oczy, usta i złote włosy całować, nagle mnie odsunęła od siebie i zdławionym głosem spytała:—„Czy jestem pierwszą kobietą, którą wziąłeś w ramiona?“ Nie uwierzysz, jak mi trudno było wydobyć to jedno słowo: Nie! Widać odczuła, ile mnie ta krótka odpowiedź kosztuje, bo ująwszy mnie za rękę — „To nic — mój chłopcze — szeptała — żadna z nas nie marzy już o tem, aby być pierwszą, chciałaby być przynajmniej ostatnią.“ A mnie jeszcze większy zdjął smutek. Bo naprzód w tych jej słowach brzmiała cicha skarga wszystkich kobiet na świecie i jaskrawo stanęła przede mną cała anormalność naszych stosunków, cała ich krzywda, a nasza niesprawiedliwość. A potem w mózgu moim utkwiły męczące pytania. Czy o wiele te moje pocałunki różnią się od tamtych?.. Czy ja tam nie zgubiłem wszystkich moich praw do tego, co jaśniejsze i szlachetniejsze?.. Czy może to wszystko rzeczywiście sprowadza się do jednej namiętności zwierzęcej, osłoniętej mgłami idealnych marzeń, która wkrótce opadnie?.. I długo nie mogłem odpowiedzieć ani — tak, ani — nie! Bo to, co było ze zmysłów, wciąż się plątało z tem, co z serca i duszy płynęło. Dwa te prądy mieszały się ustawicznie z sobą, splatały, zasłaniały się wzajemnie, póki nie przyszła chwila, kiedy ten większy i trwalszy trysnął czysty i samoistny.

Zauważyłem, że Stach zniżał stopniowo głos i mówił dziwnie monotonnie, jakby do siebie.

(D. c. n.).

stem, wypróbowany z powodzeniem w Europie zachodniej, wprowadzono i w Rosyi. Jeden z referentów i gorących rzeczników tej sprawy, p. Gatlich, podaje następujący motyw: Rosya posiada stosunkowo jeszcze niewielką liczbę robotników, którzy stanowią nieodłączną część pewnej produkcyi i przekazują swój fach z pokolenia na pokolenie, jako jedyny środek bytu. Przeciwnie — znaczna większość pozostaje w ścisłym związku z wsią i ziemią i między nią a przemysłem fabrycznym dzieli swą pracę. Przy takiem ustawicznem przerzucaniu się z fabryki na rolę, nie mogą oni w ogniskach produkcyi maszynowej, czy warsztatowej utrzymać się długo na jednem miejscu. Robotnik taki rok lub dwa lata pracuje np. w fabryce żelaza, a potem, po powrocie ze wsi, nie znalazłszy tam miejsca, dostaje się do zakładu chemiczno-farbiarskiego lub garbarni. Każda fabryka posiada pewne stałe jądro sił fachowych, złożone z majstrów, ich pomocników i robotników — weteranów. Cała masa innych, to żywioł ruchomy, zależny od pory roku, urodzaju, okoliczności rodzinnych itd. Otóż dla tej masy ogólne przygotowanie techniczne miałoby doniosłe znaczenie, dałoby możność łatwego przystosowywania się do nowej gałęzi pracy, szybszego obeznania się z nową machineryą i innemi wymaganiami produkcyi.

Czwartym typem szkół dla dorosłych, w związku z poprzedniemi, powinny być kursy specyalne, tj. wykłady i odczyty popularne w zakresie oddzielnych gałęzi produkcyi. Ta czwarta kategorya sama przez się musi powstać przy istnieniu i rozwoju całej powyżej wyłożonej organizacyi. Robotnik względnie rozwinięty umysłowo i przygotowany technicznie, łatwo będzie mógł za pomocą osobnych wykładów obeznać się z oddzielną gałęzią produkcyi lub ze stroną naukową, tudzież udoskonaleniami praktycznemi tego fachu, który daje mu zarobek.

Pytanie, w jaki sposób zorganizować i utrwalić te cztery typy szkół dla dorosłych, było także przedmiotem roztrząsań profesyonalistów. Wobec słabo rozwiniętej oświaty śród ludności, najwięcej, zdaniem ich, trzeba szkół pierwszego typu, tj. niedzielnych początkowych, ogólnie kształcących, których należałoby założyć nie garstkę, lecz *dziesiątki tysięcy*. Organizacya ich połączona jest z pewnemi trudnościami a dla należytego rozwoju niezbędna jest znaczna liczba nauczycieli, w takim stosunku, ażeby przypadał jeden na 12—14 uczniów. Ściąganie ich za pomocą płacy, zdaniem p. Gatlicha, byłoby i trudne, i zbyteczne. „Należy tylko ułatwić sposoby otwierania szkół niedzielno-wieczornych osobom prywatnym i instytucyom, dać im bezpłatne lokale, a śmiało można rzec, że się znajdą tysiące nauczycieli, którzy ofiarują swoją pracę bezinteresownie, szczególnie kobiety ukształcone.“ Na dowód zupełnej lojalności takich organizacyj, projektodawca zaznacza możność ścisłej kontroli przez organy, służące sprawom ministeryum oświaty. Dalej wnioskodawca proponuje, ażeby dla skuteczniejszego wprowadzenia w życie nauki dorosłych, władze oświaty zaopatrzyły ubogie szkoły w biblioteki odpowiednie i środki naukowe. Fundusz na to można zebrać za pomocą opodatkowania fabryk i zakładów przemysłowych, gospodarstw rolnych i wszelkich przedsiębiorstw, w stosunku np. 50 kop. od każdego robotnika rocznie. Z tego funduszu można byłoby wyznaczać pensye dla nauczycieli w tych miejscowościach, gdzie trudno o bezpłatną pomoc pedagogiczną. Wreszcie do pewnych obowiązków w tej mierze należałoby zachęcić i zarządy miejskie.

Szkoły drugiego i trzeciego typu trzeba bez ograniczenia inicyatywy prywatnej, wciągnąć do ogólnej organizacyi szkół średnich, gdyż w tym zakresie można znaleźć specyalistów i środki naukowe.

Obowiązek stworzenia czwartej kategoryi — wykładów z zakresu oddzielnych gałęzi produkcyi, p. Gatlich poleca bezpośrednio zainteresowanym tą sprawą: fabrykantom i przedsiębiorcom. Jest to zadanie bardzo łatwe, gdyż każda fabryka posiada i lokal i odpowiednich specyalistów w danych zakresach. Rząd i instytucye prywatne mogłyby się zająć urządzeniem kursów tylko w zakresie tych gałęzi przemysłu, które nie wymagają wielkich kapitałów i są przystępne dla szerokich mas ludności, jak tkactwo, różne odłamy gospodarstwa wiejskiego itd.

Ostatecznie wszystkie wnioski, wypowiedziane na zjeździe profesyonalistów, dadzą się sformułować w następujących punktach zasadniczych: 1) Szkoły niedzielno-wieczorne należy uznać za najwłaściwsze do upowszechnienia niezbędnych wiadomości śród dorosłych. 2) W celu zwiększenia sił produkcyjnych ludności należy we wszystkich dzielnicach państwa stworzyć bezpłatne szkoły niedzielne, ogólnie kształcące. 3) Drugim szczeblem rozpowszechnienia wiadomości powinny być kursy niedzielno - wieczorne, szkoły zawodowe i kursy specyalne. 4) Szerzenie nauki śród dorosłych nie może być skutecznie przedsięwzięte bez współdziałania społeczeństwa ukształconego, a więc między innemi należy ułatwić osobom prywatnym otwieranie i prowadzenie szkół odpowiednich.

Zen. Pist.

LIBERUM VETO.

Atak na Biegasa i jego protektorów.

Rzecz dziwna, że wyobraźnia poetów wysilała się na stworzenie eumenid, furyj, jędz, wiedźm, czarownic, słowem postaci, uosabiających złośliwość wielkiej siły i okrutnego demonizmu, a nie zajęła się wcieleniem w twory fantazyjne tych złości małych, zawiści mizernych, które daleko liczniej roją się w życiu i daleko bardziej niszczą jego pierwiastki. Zapewne każdy z czytelników moich przyzna, że więcej ucierpiał od pcheł i komarów, niż od lwów i tygrysów, że nierównie bardziej dokuczyły mu rozmaite drobne szczypawki ludzkie, niż wszystkie eumenidy i furye. W te ostatnie bowiem musi zawsze wejść jakaś, chociaż ujemna, ale potężna siła — wszelka siła zaś tej miary jest rzadka—podczas gdy pierwsze obywają się bez niej, a przynajmniej wystarcza im taka jej cząstka, jaka jest potrzebna do wbijania żądełek i naciskania jadowitych zębów. Pomysłowy człowiek, który w obronie swego życia wynalazł sposoby tępienia wielkich drapieżców, wobec małych stoi dotąd bezwładnym. To też gdy wkrótce lwy i tygrysy tak wyginą, że będziemy je tylko oglądali wypchane w gabinetach zoologicznych, pchły i komary pozostaną w nie zmniejszonej liczbie i dalej zwycięzko walczyć będą z naszemi daremnemi przeciwko nim usiłowaniami. Ze względu na swą trwałość, nieprzerwane tryumfy i wielki udział w rozwoju cywilizacyi, powinny one zająć bardziej, niż dotychczas, uwagę socyologów i poetów. Romantycy, którzy dla swej wyobraźni poszukiwali zawsze postaci nadzwyczajnej miary, są usprawiedliwieni z lekceważenia tworów maleńkich; ale dzisiejsi realiści i naturaliści, którym chodzi głównie o przedstawienie rzeczywistości, którzy rozpatrują życie pod mikroskopem dla odnalezienia w niem najniklejszych bakteryj, powinniby gorliwie zająć się wcieleniami drobniutkiej złości. Skorzystałaby na tem nietylko sztuka, ale zbogaciłby się również słownik opinii publicznej, która dla określenia pewnych szczypań, kąsań, drapań nie ma odpowiedniego wyrazu plastycznego, nie ma znajomej wszystkim figury. Jeżeli powiem: Megera, Alekto, Tyzyfona, Medea, Baba-jędza — każdy wykształcony człowiek mnie zrozumie; ale czemże scharakteryzuję np. to, co oblazło i kąsa opiekunów Biegasa?

Tym naiwnym ludziom zdawało się, że podjęli zadanie słuszne, uczciwe, ważne i — co u nas jest względem pierwszorzędnym — nikogo nieobrażające. We wsi Koziczynek znaleźli biednego, prostego chłopca, który objawił nadzwyczajny talent rzeźbiarski i marnował się w wycinaniu figurek z drzewa i lepieniu z gliny, bez nauki, bez wskazówek, bez wzorów. Miejscowy proboszcz i kilku jego znajomych przedtem próbowali pastuszka nieco wykształcić w snycerstwie i złożywszy się po parę rubli miesięcznie, oddali go do terminu u pewnego „artysty“ warszawskiego, od którego chłopiec jednak powrócił takim, jakim pojechał. Daremnie wyczekiwał on na jakieś miłosierdzie, które zapewniłoby mu umiejętniejszą opiekę i skuteczniejszą pomoc. I oto podali mu rękę ludzie — jak się okazało — bardzo naiwni. Bo mniemali oni, że — jeżeli bez odwoływania się do składek publicznych, bez szturmowania do instytucyj, bez gołosłownych zaręczeń, pokażą zadziwiające utwory prostaczka gronu osób zdolnych je ocenić i gotowych do niewielkiej ofiary, to naprzód zbierze się fundusz na ukształcenie chłopca, powtóre uratuje się dla społeczeństwa dzielną siłę artystyczną w tym rodzaju, w którym ono jest szczególnie ubogie, i potrzecie — nikomu to nic a nic nie zaszkodzi. Nie dziwcie się omyłce, gdyż doprawdy trudno było przewidzieć, że Biegas przemieniony z pastucha na rzeźbiarza, z chłopca zupełnie ciemnego na człowieka cokolwiek ukształconego — może kogokolwiek rozgniewać. A przecież tak się stało. Kampanię rozpoczęły nasze Fidyaszątka, które nietylko nie okazały mu żadnej życzliwości, ale czuły się głęboko dotknięte „wrzawą,“ jaką koło niego robiono. Jeden nawet z owych mocarzów, którzy wszyscy razem od lat kilkunastu nie mogą się zdobyć na przyzwoity pomnik dla Mickiewicza, oświadczył z humorystyczną przenikliwością i bystrem znawstwem, że lepsze utwory Biegasa nie są jego robotą, lecz jakiegoś skończonego artysty. Następnie wysunęły się podjazdy z prasy, widocznie komenderowane z jednej kwatery. Pomijam ochocze wycieczki tych karczom dziennikarskich, których, niestety, żaden monopol wódczany nie zniesie i których gospodarze obdzierają ze czci na publicznej drodze wszystkich, nienależących do grona ich gości; zaznaczę tylko parę ataków nieco przyzwoitszych w formie. Pewna gazeta, która swą chroniczną apatyę usiłuje od pewnego czasu złamać bardzo ryzykownymi skokami, wystąpiła z apostrofą o to, że „*zapomniano* wspomnieć o nauczycielu artyście rzeźbiarzu Antonim Panasiuku,“ u którego chłopiec uczył się „nietylko *rzeźbić*, lecz także *czytać i pisać*, a widocznie miał *dobrą szkołę*, gdy przy wrodzonym talencie *po* tak krótkiej nauce zaczął tworzyć samodzielnie,“ że drugim „dobrodziejem Biegasa, *a raczej* Biegalskiego, *był i jest* ks. Rzewnicki, który *oprócz przyodziewku* płacił *miesięcznie 10 rs.* za utrzymanie chłopca w Warszawie.“ Inny dziennik, który zapewnia ustawicznie, że jest bardzo wybrednym w środkach i swym przeciwnikom radzi oczyszczać broń polemiczną, pozwolił sobie jeszcze więcej. Mianowicie oskarżył on „protektorów“ Biegasa o „zamilczenie“ kilkunastomiesięcznej jego nauki u p. Panasiuka dlatego, „ażeby w ten sposób *powiek-*

szyć szanse stawki *na wygranie* mecenasa czy mecenasów dla swego protegowanego.“ W końcu wyraził zdanie, iż należałoby się „poinformować u p. Panasiuka, co wart ów chłopiec pod względem *moralnym i umysłowym*“ oraz że jedynie Towarzystwo sztuk pięknych „powinno i może talent ocenić i zebrać dokładne wiadomości o osobie, a z daleko większą od dziennikarzy kompetencyą odzywać się do publiczności o poparcie i środki kształcenia młodocianych talentów.“ Dla charakterystyki dodam, że są to słowa tego samego organu, który z taką (według mnie, słuszną) zgrozą karcił potwarcze zniesławienie przełożonej w „Puszczy.“

Jak widzimy z obu tych komentarzy, sytuacya jest przykrą, ale jasną. Dzięki czujności stróżów dobra publicznego, prawdy i sprawiedliwości, „protektorowie Biegalskiego“ przyłapani zostali na gorącym uczynku oszustwa. „zamilczawszy“ bowiem o jego studyach w „dobrej szkole“ u „artysty rzeźbiarza,“ „aby powiększyć szanse stawki dla wygrania mecenasa,“ przedstawili uzdolnionego w snycerstwie i ukształconego umysłowo młodzieńca jako prostaczka, w którym talent objawił się samorodnie, przezwawszy go przytem dla lepszego efektu Biegasem. Postąpili oni niby przedsiębiorcy Panopticum, którzy przykleiwszy na karku zwyczajnemu Müllerowi końską grzywę i pomalowawszy mu ciało fioletowo, pokazują go jako cud natury pod nazwiskiem księcia y Pradilla don Kakao el Indigo.

Jako współprotektor Biegasa i współwinny zajęcia się jego przyszłością, nie będę niepokoił szanownych kontrolerów prawdy i sprawiedliwości zbytecznem pytaniem, gdzie oni poczerpnęli materyał do tych oskarżeń, bo wiem, że go wyssali ze swych jasnowidzących palców. Nie będę również żądał od nich odpowiedzi, kiedy dowiedzieli się nietylko o pedagogicznych i artystycznych zdolnościach p. Panasiuka, ale nawet o jego istnieniu; czemu według nich jest on lepszym sędzią „umysłowej i moralnej“ wartości Biegasa, niż np. dr. Rajkowski; dlaczego literat, który studyował sztukę i poznał arcydzieła rzeźby w największych muzeach europejskich, ma posiadać mniej kompetencyi w sądzeniu jej, niż adwokat, rejent lub ktokolwiek inny, należący do komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych? Odpowiedzi na te pytania nie wymagam i poprzestaję na stwierdzeniu, że całe przytoczone wyżej oskarżenie, wraz z pominiętemi jego dopełnieniami, jest okazowem w swej lekkomyślności i złośliwości kłamstwem. Bo:

1) Zarówno *Prawda*, jak inne pisma, które życzliwie zaopiekowały się Biegasem, *nie przemilczały* ani o księdzu, który pierwszy nim się zajął, ani o jego pobycie u p. Panasiuka.

2) Ów p. P. wcale go nie kształcił ani w rzeźbie, ani w żadnej nauce, lecz zatrudniał go w swym warsztacie przemysłowym, nie pozwalając na żadną samodzielną pracę artystyczną, a przekonawszy się, że nie będzie miał zeń pożądanego czeladnika, wydalił.

3) Biegas rzeźbił od wczesnego dzieciństwa i wykonał bardzo piękne utwory w drzewie, zanim jeszcze widział swojego mniemanego mistrza, i właśnie te jego prace dały zapewne nadzieję p. Panasiukowi, który wyrabia ornamenty stolarskie, że będzie zeń miał zdolnego robotnika.

4) Od pół roku Biegasem opiekuje się wyłącznie dr. Rajkowski, u którego on mieszka.

5) Towarzystwo zachęty szt. pięk. okazało tyle „kompetencyi,“ „powagi“ i życzliwości dla młodego artysty, że pozwoliło umieścić jego śliczne utwory w swojej *kancelaryi* i kazało je po kilku dniach uprzątnąć jako śmiecie zanieczyszczające przybytek, którego mogłyby być ozdobą.

Ażeby zaś czytelnik nabrał wyobrażenia, jak to Biegas kształcił się u swego mistrza i jak uczonym wyszedł on z „dobrej szkoły,“ przytaczam *in natura* jego własnoręczny opis swego życia i studyów artystycznych.

Od 7 laty zycia zaczolem, robić kozikiem z drzewa rozmaite figurki i zgliny. Razu, jednego takiego chłopa wyrżesbiłem którego wedwóch niemoglismy poradzić i potem wiele innych. i gdy zobaczyłm na odpuscie, jako figure to posłem dodomu i zaraz lepilem takesame. I potem matkami zmarła a nademno się wszyscy znecali bo ja niechciałem tego robic co mie kazali tylko schowałm się wjaki kąt i wziołem kozika i robiłem sobie bespiecznie. Jednegorazu przyszedł raz do mego szwagra od Ksiedza Rzewnickiego furman który wzioł jedne figurkie napokazanie Ksiedza Rzewnickiego jak ksiądz te figurkie zobaczył zaraz nadrugi dzień przyjsc kazał. I na pierwszy wstep kazał mi zrobić pana Kraśńskiego. I dwie służące jedna miała w ręku koszyk a 2 miała swoje całe gospodarstwo bo ona miała przy sobie swińie i kury. I nawet były podobne do swoich potretów i dziewczyne ktora niosła dzban wody i chlopa który bił babe i dwóch chłopców którzy się probowali i babę zwarząchwio. I następnie Ksiądz Rzewnicki zaprosił kilka panów i Księdzy których bardzo dziwiło że chlopiec beznauki potrafi tak wyrobić. I zaraz zrobili składke i Ksiądz Rzewnicki zawiuz mie do Warszawy do pana Panasuka który mie mial uczyć. I wpoczątkach dał mi nogi od stołów rzeźbić i to nałuka była dalsza i ja raz pokryjomu zaczolem robić Świętego jana Nepomuczyna to on jak to panasuk zobaczył wydar mi zręku i kazał spalić I jak panasuk figurę zrobił to ja musiałem wyslufowac i ja uczyłem się slufowania u pana Panasiuka. Opruc orgametów i slufowania nic więcy nie uczyłm sie. Bo się chwali pan Panasuk że mie uczył piszac i czyta żczbic ale to jest niemożliwe żeby Panasuk kogo nałuczył bo on jest chytry i chce azeby on był jednem zebiarzem na swiece. Raz posłem na wystawe śtuk pieknych ja on sie dowiedział o tem mówił do mie że niemaz prawa chodzic po zadnych wystawach ze ja jeszcze raz pujdziesz to cie wypcham nałep do ksiedza.

Jeden pan powiedział mie że naulyci nowym świece jest rzezbiaz który nazywa się Cholc i on był Ksiedza znajomy ja poszłem do niego i prosił aby mie mógł uczyc i kazał mi przychodzic w niedzele o godzinie dziewiątej. Ja przychodzic. Jako się panasuk dowiedzial o tem i powiedział ze cie wygnam i w kuryjcze rozpisze zeby cie nicht nie przyjoł i stego bardzo zachorowałem i przyjechałem do księdza Rzewnickego i bardzo zachorowałem i pan Rajkowski przyjechał do mie kurowac pan Rajkowski wziął mie do siebie aby mie mógł nauczyc pisac i czytac.

Chyba trudno w tym dokumencie dostrzedz zasługę i skutki „nauki“ mistrza. W rzeczywistości są one jeszcze mniejsze, bo Biegas od pół roku uczęszcza do szkoły miejskiej w Ciechanowie. Mimo to, gdy *Kuryer warszawski* (który obok *Kuryera codziennego* i *Tygodnika ilustrowanego*, uczciwie poparł i należycie ocenił młodego artystę) podnosząc jego nadzwyczajny talent, wyraził życzenie, ażeby ta pochwała nie dostała się do rąk chłopca i nie wbiła go przedwcześnie w dumę, Biegas wypadkiem przeczytał artykuł o sobie i oświadczył, że oprócz swego nazwiska... nic więcej nie zrozumiał.

Tak u nas było zawsze, tak jest, a bodajby nigdy nie było, że za cnotę społeczną uważa się nierobienie niczego w interesie ogółu, że gdy Paweł zacznie robić cośkolwiek, to Janowie, Bonifacowie, Wojciechowie itd., którzy skarżą się na warcholstwo i na targanie zawiścią pracy obywatelskiej, uważają za najświętszy swój obowiązek obrzucić go błotem i cisnąć mu kije pod nogi. Bo złym jest wszelki czyn już przez to samo, że nie od nich pochodzi. Ale na szczęście w obecnym wypadku mogę powstrzymać marnowanie się tej szlachetnej energii. Atak na „protektorów“ Biegasa był podjęty z tym celem, ażeby zniechęcić ludzi gotowych do ofiar pieniężnych i udaremnić starania na jego korzyść. Otóż mam honor oświadczyć, że żadna praca w tym kierunku jest już niepotrzebną i mężni jej rycerze mogą odpocząć po krótkim trudzie na laurach, gdyż fundusz dla kształcenia Biegasa jest prawie zebrany. Mianowicie na rachunek 400 rs. przez 4 lata za pośrednictwem dr. Rajkowskiego — jak donosi *Kuryer warsz.* — pięciu uczestników zobowiązało się płacić rs. 115 rocznie; w naszej redakcyi p. M. Kiniorski z Jeleniowa złożył rs. 300 (co wynosi rs. 75 rocznie), doktorowie: Baranowski, Dunin, Krajewski, Z. Kramsztyk zobowiązali się płacić po rs. 25 rocznie (i pierwszą ratę wnieśli), dr. Benni rs. 20 — razem 195, czyli z poprzedniemi 310 rs. rocznie. O pozostałe rs. 90 wcale nas głowa nie boli.

Czy wobec tego rachunku warto tracić jeszcze czas i drogocenny atłas dziennikarski na paraliżowanie przedsięwzięcia, które jest już dokonane bez zaciągania „informacyi“ u p. Panasiuka, bez udziału „powagi i kompetencyi“ Towarzystwa zachęty sztuk pięknych? Trzeba się pogodzić ze smutnym losem i z tą gorzką myślą, że może ci prawdziwi dobrodzieje Biegasa, którzy mu zapewnili środki do ukształcenia się, będą mieli z niego pociechę i dadzą społeczeństwu utalentowanego artystę.

Poseł Prawdy

BADANIA NAUKOWE.

NOWI POGROMCY NAUKI.

Istną pokutę zadał mi redaktor *Prawdy*, żądając sprawozdania z dwu książeczek, drobnych wprawdzie objętością, ale tytułem szumnych. Takie książki wszakże i takie tytuły znam już dobrze. Są to naiwne zamachy na naukę, autorowie ich chcą cały gmach wiedzy dzisiejszej zburzyć, od podstaw aż do szczytu. Burzenie zresztą jest tu wyrazem zbyt silnym. Tacy pogromcy nauki taranami w nią nie biją, wydaje im się, że można ją poprostu zdmuchnąć. Z Kopernikiem i Galileuszem, z Keplerem i Newtonem, z Darwinem wreszcie załatwiają się bardzo łatwo. Ale ogół z zaciekawieniem przygląda się utworom takim. Jakież są autorów tych zarzuty, argumenty, dowody, pomysły? Należy ich przecież wysłuchać. Niestety, wywody te są zawsze tego rodzaju, tak błahe i niedorzeczne, że odpierać ich wcale nie można, zatrzymywać się nad niemi ani na chwilę nie warto. Nie żądajcie więc jakiegokolwiek rozbioru, sprawozdania. Otwórzmy zresztą książki te na chybi trafi, to wystarczy zupełnie. Nazwiecie może metodę taką niesumienną i podstępną, ale lwa przecież z pazura poznać można.

Pierwsza tedy z tych książek, w zalotnej okładce, ma już tytuł odrazu wymowny: „A ona jednak się nie obraca. Napisał 44.“ Tak jest, wyraźnie — imię jego czterdzieści cztery. Widocznie pseudonim ten oznaczać ma zbawcę wiedzy, a czego on uczy, poznamy z kilku urywków: „Każde ciało żyjące, każda jego część i cząstka oddycha, tj. ściąga się i rozdyma, każde i każda ma swój cieplik wewnętrzny, który przez oddech częściowo traci i zyskuje napowrót... Ziemia żyje, ziemia oddycha; czas jednego jej oddechu wynosi 365 dni, czyli jeden rok. W czasie tym jej ciało rozszerza się i ściąga raz jeden za pomocą falowanych drgań, z których każde odbywa swą drogę w ciele i na ciele ziemi w ciągu naszych dwudziestu czterech godzin... Na biegunie ziemi pokarmowym (północnym) znajduje się otwór, a raczej wiele ilość otworów skombinowanych w jeden, w jedno zagłębienie. Biegun płciowy (południowy) ma także coś podobnego. Raz na kilka milionów lat spotyka się ziemia ze swym lubym; wtedy dzieją się na niej okropne spustoszenia: wylewy morza, trzęsienia, zapadania się gór, krzyk, pisk, wycie, lament.“ Kto to jest tak rozkoszny „lubym,“ szukać nie będę, ale to wiem z pewnością, że nie jest nim słońce: „Cieplik uchodzący z bie-

gunów koncentruje się po obu stronach stożkowo w kulę... Skoncentrowanie się tego olbrzymiego ciepła w jednem ognisku wytwarza żar... i z odległości przedstawia się naszym oczom w kształcie żarzącego białem światłem krążka średniej wielkości, który nazywamy słońcem." Wyjątki te wystarczą chyba.

Wręcz przeciwne pojęcie o słońcu ma p. Franciszek Wodecki, autor drugiej z łaskawie mi przez redakcyę *Prawdy* nadesłanych książek, a zatytułowanej niemniej szumnie: „Księga Wszechświata i sposób jej czytania," nietylko bowiem pozostawia naszej gwieździe dziennej byt rzeczywisty, ale darzy ją nawet życiem: „Słońce jest stworzeniem żyjącem, ze świadomością siebie samego i z celem swej działalności. Jest rodzaju męzkiego, przedstawicielem siły mocy z odpowiednim stosunkiem siły mądrości, dlatego ruchy, które odbywa, pochodzą z niego samego." A nieco dalej: „Ziemia nasza, wzięta jako ciało abstrakcyjne zpośród grona materyj nieświetlanych, hołdujących materyi świetlanej słońca, przedstawia się jako stworzenie żyjące. Niechaj każdy z niedowierzających temu twierdzeniu zwróci uwagę na to, że w przestrzeni znajduje się tylko materya, a ta jest wynikiem usiłowań siły mądrości i w niej się przedstawia. Przeto gdzie jest materya, tam jest siła mądrości, czyli życie. Rośliny, owady, zwierzęta, ptaki i ludzie żyją. Przeto musiała je zrodzić materya żyjąca, gdyż one są jej dalszym rozwojem." Odwróćmy kartek kilkanaście: „Tak cieplik, jak zarówno światło, są materyą, o czem każdy uczony wiedzieć musi, ujść po za sferę siły attrakcyjnej słońca nie może, bo ta na to nie dozwoli. Promienie słońca nie przesyłają nam ciepła, ale są materyą wysyłaną przez słońce ku ziemi i każdej nieświetlanej materyi. Te promienie wywołują czyli wzbudzają w danej materyi ciepło, jak również wskutek oporu i tarcia powstaje w nich cieplik." I jeszcze jeden tylko ustęp: „Gdyby rzeczywiście słońce przyciągało wszystkie materye nieświetlane, krążące wkoło niego a tworzące jego system, jak również, gdyby planety nawzajem pragnęły przyciągnąć słońce ku sobie, to przez tyle milionów lat, jak wszechświat egzystuje, te planety byłyby doszły do wyznaczonego przez Newtona celu. Jeżeli zaś przez tyle wieków do tego nie przyszło, to znaczy, że Newton się mylił. Tak nie jest. Słońce nie posiada siły attrakcyjnej w tem znaczeniu, jak to przedstawia ten mąż nauki... Słońce może przyciągać planety v. materye nieświetlane i przyciąga, ale siłą płciową, jako rodzaj męski oddziaływający na żeński."

Nie sądzę, aby bzdurstwa takie rozśmieszyć kogo mogły; budzą one chyba niesmak tylko i gniew, że papier aż tak dalece cierpliwym być może. Tem bardziej, że zbyt często u nas dźwigać on musi ramoty tak nędzne. Kto choć pobieżnie obeznany jest z bibliografią polską, wie, że chwast ten rozrasta się w stosunku nadmiernym do liczby książek naukowych. Nie ma bodaj roku, w którymby nie pojawiło się kilka takich książek lub broszur. Jeżeli zapytamy o podniety, które autorów tych pchają do podobnych pomysłów i do ujawniania ich drukiem, to niewątpliwie pierwszą z nich jest absolutna nieznajomość nauki, z którą walkę podejmują. Autor „Księgi Wszechświata" chętnie się nawet do tego przyznaje: „Dla mnie niepotrzebną jest luneta, ani teleskop. Ja każdą z tych gwiazd zbliżam sobie myślą do takiej odległości, jaka mi jest potrzebna, czy to chcąc przedstawić ją sobie wielkości księżyca, czy też słońca." Otwartość tę pochwalić wypada autorowi, bo odsłania nam zarazem metodę jego, która jest też metodą tych wszystkich pogromców nauki. Wyobrażają sobie wszystko, jak im się podoba, jak im potrzeba, i to im wystarcza.

Nieznajomość zresztą nauki grzechem nie jest: bez astronomii być można bardzo porządnym i dobrym człowiekiem. Ale pogromca lekceważy wszystko, cokolwiek w nauce zdziałano, cokolwiek dotąd o niej napisano; pogardliwie spogląda na głupców, co z książek naukowych, z podręczników wiedzę zdobyć pragną: „Szukając rozwiązania tych niepojętych rzeczy, — czytamy znowu w „Księdze Wszechświata" — z pomocą podręczników i dzieł z tej dziedziny, po przeczytaniu takowych umysł jego (tj. każdego uczonego) do tego stopnia został utrudzony, że nie będąc zdolnym szukania innego punktu wyjścia, zaczyna tę samą piosnkę i na tę samą nótę śpiewać, co czytane podręczniki."

Nie do tych więc zwraca się pogromca nauki, co są z nią obeznani, co po jej dziedzinach wędrować przywykli, ale stara się stronników zdobyć śród ludzi, dla których nauka jest obca. Ze szczerą naiwnością z góry przyznaje, że kto z nauką pewną zabrał znajomość, będzie jego przeciwnikiem. Jest to znów taktyka wszystkim tym panom wspólna. Posiadam starą broszurę niemiecką, która dowodzi, że nauka Torricellego o ciśnieniu powietrza jest fałszywą, a zawiera ponętne przyrzeczenie, że kto zdoła rozumowania autora obalić, otrzyma dziesięć tysięcy talarów. Dodaje jednak ostrożny autor, że ponieważ wszyscy profesorowie i uczeni są jego przeciwnikami, on sam przeto tylko rozstrzygnąć może, czy pokonanym został.

Ta pewność, nieomylność, to osobliwe przecenianie samego siebie jest dalszą cechą podobnych autorów. Każdy z nich w głos wykrzykuje — nunc opus exegi. „Gdyby praca moja była podaną w języku francuskim, niemieckim lub angielskim, zwróciłaby wszystkich uwagę na siebie. Każdy ubiegałby się o przeczytanie i zapoznanie się z jej treścią. A że jest w języku polskim, musi czekać aż ją nowe pokolenie przetrawi." Nie zawsze jednak pogromca nauki ma dosyć cierpliwości, by zadawalniać się apelacyą do potomności; wtedy płaci za przekład swej roboty na język francuski i przesyła ją akademii nauk w Paryżu. Ale sekretarze akademii mają wzrok tak bystry, czy też czucie tak wyrobione, że wskroś okładki treść wyczytują i odrazu na zagładę ją skazują. To nie uwłacza wszakże autorowi, — toć wiadomo, że wszyscy ci akademicy to stare osły, w rutynie zagrzęzłe.

Czy prócz nieuctwa i zarozumiałości inne jeszcze czynniki niezbędne są do wytworzenia reformatora, pogromcy nauki, wyjaśnić to mogą chyba psychologowie. Jeden z nich twierdzi podobno, że geniusz z obłąkaniem graniczy. Niekiedy zdaje mi się, że zdanie to pojmować zaczynam.

Oprócz psychologii autorów jest wszakże jeszcze psychologia czytelników, którym utwory takie do smaku przypadają. Imponuje im niewątpliwie najpierw osobliwa stanowczość autora, oszałamia wyniosły sposób wygłaszania twierdzeń, niedopuszczający zaprzeczenia, bawi też i paradoksalność pomysłów. W dalszym rzędzie podoba się zapewne i lekceważenie wielkich twórców nauki, odzieranie z uroku mężów, których czcić i wielbić przywykliśmy — zwykła słabostka ludzka, znajdująca zadowolenie w przypinaniu łatek bliźnim, zwłaszcza gdy na wyniosłym mieszczą się piedestale. Ale największej waży tu wzgląd inny, to mianowicie, że w ogólności nie wiemy jasno, jak się nauka robi, nie znamy dróg, jakiemi ona kroczy, nie zdajemy sobie sprawy z mozołów badacza, jak z faktów starannie zbieranych snuje on prawa i jak na trwałej tej dopiero podstawie budnją się hypotezy i teorye rozległy obszar zjawisk obejmujące. Wyobrażamy sobie, że pomysł szczęśliwy świta w głowie badacza i teorya odrazu staje gotowa. Wielcy uczeni przedstawiają się nam jakby autorowie aforyzmów w jednodniówkach na pogorzelców. Kopernik powiedział, że się ziemia obraca, Newton odgadł, że słońce przyciąga, a Darwin krzyknął, że człowiek od małpy pochodzi. Skoro zaś tak jest, to również łatwo wygłosić i zdanie wręcz przeciwne, aforyzm za aforyzm. Ziemia wcale się nie obraca, słońce nikogo nie pociąga, ani człowiek od małpy nie pochodzi, bo inaczej dawnoby już małp nie było w lasach afrykańskich. Nie — panowie — tak tanio nauka się nie robi i tak tanio nie wywraca się, ani nie odwraca.

Czytałem w starym życiorysie Ezopa, że nie masz nic równie nudnego, jak o głupstwach poważnie pisać. Mnie to dziś przypadło i za to czytelników przepraszam. Niech mnie jednak usprawiedliwi to, że książki takie zbyt często piśmiennictwo nasze naukowe zachwaszczają; dlatego może uwagi te zupełnie zbyteczne nie będą.

S. K.

Wyludnianie się Francyi.

Na powierzchni życia publicznego we Francyi ukazała się przed kilku laty pewna kwestya, która na czas niejaki przykuła do siebie uwagę publicystów i nawet uczonych. Statystyka ludności wykazała, że krajowi nietylko nie przybywa obywateli, lecz że przeciwnie można dostrzedz stałą dążność zniżkową. Zjawisko to zaniepokoiło patryotów francuskich: ludność tego państwa w ubiegłem stuleciu stanowiła 27% ogółu wielkich państw, dzisiaj zaś spadła aż na na 12%, co musiało wywrzeć wpływ na stanowisko narodu w chórze polityki międzynarodowej. „Nie godzi się — ktoś pisze — ukrywać nadal zatrważającego charakteru takiego objawu, który z każdym rokiem staje się coraz rozleglejszym. Zabraknie nam ludzi, braknie ich już nawet dzisiaj, bo gdy inne narody mnożą się, my pozostajemy na tym samym poziomie, co dawniej!"

Zaczęto poszukiwać źródeł wyludniania się Francyi. Ukazały się prace większe i mniejsze, niekiedy zaś dzieła, przedstawiające się bardzo poważnie, jak np. Dumont'a rzecz o związku pomiędzy cywilizacyą a spadkiem płodności. Niekiedy wskazywano przyczyny raczej paradoksalne, aniżeli rzeczywiste, jak doktryna Lapouge'a, usiłująca dowieść, że złe wypływa z krzyżowania na wielką skalę odrębnych typów antropologicznych, mianowicie długogłowego blondyna z krótkogłowem, i że mieszańcy są niepłodni, przedewszystkiem zaś pozbawieni instynktu i miłości dzieci. Zjawiły się jeszcze inne teorye, nieraz ryzykowne i podejrzane, jeszcze częściej trafnie odsłaniające istotną przyczynę ubytku ludności, polegającą na tem, że Francuzi świadomie nie chcą mieć potomstwa. Powstały związki, jak np. ligi narodowej, zachęcające rodziców do miewania dzieci i usiłujące ukryć niemoc swoją pod osłoną czczej frazeologii. Ukazały się projekty, jak zaradzić klęsce wyludniania. Atoli jeśli wśród badaczów, zajmujących się rozbiorem przyczyn objawu, znalazło się sporo znachorów, to w zastępie praktyków, rozmyślających o powstrzymaniu ubytku ludności, typ ten niemal wyłącznie zapanował. W całej pełni ujawniła się bezsilność leków mieszczańskich na niedomagania społeczne. Znaleźli się nawet tacy, którzy pociągnęli palenie tytuniu i picie trunków do odpowiedzialności, jako jedyne źródła spostrzeganego spadku. Inni, dostrzegłszy, że istnieją w kraju klasztory żeńskie, wystąpili przeciw tej instytucyi, oskarżając

ją, że odciąga kobiety od związków małżeńskich! Zażądano od państwa wydawania premij stadłom małżeńskim, mającym większą liczbę dzieci, ogłoszono jeszcze inne recepty, nie pytając, czy ktokolwiek zechce spożywać zapisane leki społeczne. Zpośród zaś wszelkich dyskusyj, recept i faktów coraz wyraźniej występowała naga prawda, że Francuzi dlatego nie podnoszą się w liczbie, ponieważ małżonkowie nie chcą mieć dzieci.

Zainteresowanie to osłabło dzisiaj. Swego czasu uznano kwestyę za palącą, narozprawiano z jej powodu, ale w natłoku innych spraw życia codziennego odsunięto ją na bok. Od czasu do czasu wszakże ukazuje się jakaś nowa praca, poświęcona temu przedmiotowi. Nie zmieniają one już ustalonego poglądu co do jądra rzeczy, mianowicie, że sprawczynią ubytku ludności we Francyi jest wola rodziców, świadomie skierowana na ograniczenie liczby potomków. Lecz uzupełniają one naszą znajomość działających przyczyn, wykazując jeszcze istnienie sprężyn drugorzędnych, nie tak widocznych, choć bezwarunkowo zasługujących na uwzględnienie. Może napięcie ich na razie nie jest zbyt znaczne, ale niektóre zpośród nich są tego rodzaju, iż przy pewnych warunkach społecznych mogą nabrać zgoła innej doniosłości.

W liczbie takich poszukiwań na pierwszem miejscu należy umieścić książkę prof. E. Maurel'a, wykładającego na wydziale lekarskim w Montpelierze *).

Maurel wychodzi z danych statystycznych, świadczących o wzroście liczby bezdzietnych stadeł małżeńskich w kraju. Gdy np. w r. 1802 w miastach departamentu Górnej Garonny obfitość takich małżeństw nie przewyższała 13,5%, obecnie (tj. w r. 1891) wahała się pomiędzy 15 a 20%. Co do ludności wiejskiej, cyfry odnośne wzrosły w ciągu lat 90 z 3,75% na 6% i nawet 8%. Wzrostowi takiemu bezwzględnie jałowych związków rodzinnych towarzyszy odpowiednie wzmożenie się cyfry stadeł, mających jedno lub dwoje dzieci. Atoli Maurel, nie zaprzeczając, że w takim ubytku płodności znaczną rolę odgrywa świadomość rodziców, twierdzi, że spostrzegane zjawisko pochodzi jeszcze z innych przyczyn, niezależnych już od woli ludzkiej, ale związanych z naturą przymiotów fizycznych. Sądzi on mianowicie, że do wyludnienia Francyi przykłada się w znacznej mierze rozpowszechnienie dolegliwości artrytycznych, przechodzących drogą dziedzictwa z przodków na potomków.

Prowadząc specyalne poszukiwania nad rodzicami, dotkniętymi przez artrytyzm, badacz francuski znalazł wśród takich stadeł małżeńskich znaczny spadek płodności: o 52% zpośród nich odznaczało się niepłodnością bezwzględną, 28% rodzin miało tylko po jednem dziecku, 4% wydało potomków zwyrodniałych i tylko 16% posiadało zdrową dziatwę w większej liczbie. Maurel z tych danych wywnioskował, że wymieniona niemoc osłabia lub nawet zupełnie niszczy zdolność rozpłodczą. Artrytyzm zaś, jego zdaniem, jest chorobą obecnego stulecia — w tem znaczeniu, że wypływa z warunków bytu tegoczesnego, zwłaszcza zaś z nadmiaru jadła. Nie on pierwszy zwrócił na to uwagę, że spożywamy za dużo pokarmu, nie równoważąc takiego zbytku odpowiednim wydatkiem energii żywotnej na pracę mięśni. Siedzący i wogóle mało ruchliwy tryb życia wraz ze spożywaniem zanadto wielkiej ilości pokarmów, sprawia liczne zakłócenia w działalności organów trawienia, w dalszym ciągu zaś krążenia krwi, co po kilku pokoleniach, wzmocnione dziedzictwem, wyradza się w szereg dolegliwości, jak humory, kamienie, podagra, z któremi w parze idzie względna naprzód, później zaś bezwzględna niepłodność. Złe to będzie wzrastało wraz z dobrobytem społecznym i w społeczeństwie, które zapewni wszystkim członkom swoim wystarczające utrzymanie, może dosięgnąć bardzo silnego napięcia jeśli naród nie zapobiegnie ujemnym skutkom nadmiernego jadła.

Bądź co bądź, wyłuszczona przyczyna nie tłómaczy jeszcze ogromu wyludnienia. Jakeśmy zaznaczyli, tkwi ono przedewszystkiem w nieprzymuszonej woli małżonków niemiewania dzieci. Wraz z tem przechodzimy do kwestyi ogólniejszej, wykraczającej poza obręb pojedyńczego kraju. Niektórzy zpośród ekonomistów starej daty gorzko narzekali, że warstwy uboższe mnożą się jak króliki. Zarzut ten dotyczy tylko włościan oraz ludu miejskiego zaściankow ekonomicznych. Z wzrostem ognisk przemysłu nowoczesnego, z rozwojem sieci komunikacyjnej i coraz znaczniejszem napięciem stosunków wymiennych, nawet warstwy pracujące zaczynają przeniewierzać się zasadzie zastępowania braku innych rozrywek przez rozkosz nadmiernego wzrostu w rodzinie. Jednostka pragnie użyć przyjemności i swobody i w pogoni za szczęściem indywidualnem uważa liczne potomstwo za brzemię zbyteczne. A dążność ta jest tem silniejsza, im rodzice są w lepszym dobrobycie.

„Mamy — pisze de Varigny — w naszym kraju dostateczną obfitość niezbędnych środków utrzymania. Nie cena codziennych artykułów żywności powstrzymuje płodność. Istotnem wędzidłem jest dopiero cena nadmiaru, tj. tych niezliczonych rzeczy, które stanowią zbytek. Tak samo działają koszty wychowania dzieci, i to w sposób podwójny. Chodzi naprzód o dostarczenie im środków utrzymania, powtóre zaś o zapewnienie im wyższego stanowiska na drabinie hierarchii społecznej. Tam, gdzie koszty wychowania są niskie, tj. wiktuały i utrzymanie odznaczają się taniością i gdzie dziecko już w latach bardzo młodych może własną pracą istnieć, tam płodność jest znaczna."

Wyzwalanie się jednostki z pod ciężarów i obowiązków rodzicielskich nie ogranicza się na jednej Francyi, ale rozpowszechnia się wszędzie, gdzie industryalizm zapuścił silniej korzenie. Tylko tradycye i wierzenia, pozostałe po ubiegłej epoce, stawiają jeszcze opór wzbierającemu potokowi dążeń indywidualnych. Szerzą się praktyki, szkodliwe dla zdrowia jednostek, posuwające się do czynów, ściganych przez prawo. W zaułkach wielkomiejskich działają pokątni znachorzy i znachorki, żyjący dostatnio za cenę zrujnowanego życia kobiet i niekiedy zbrodni. Wobec tego objawił się ruch, który wychodząc z założenia, że niepodobna płynąć przeciw prądowi, chce wyrugować pomoc znachorów i zbrodnię albo chorobę przez rozpowszechnianie zdobyczy wiedzy lekarskiej. Sprawy te, traktowane dotychczas półgłosem, pozbyły się dawnej pruderyi, są one publicznie przedstawiane na wiecach i rozbierane na zjazdach specyalistów kunsztu medycznego.

Właśnie pod wpływem takiej woli, świadomej i zdecydowanej, nietylko we Francyi daje się spostrzedz pewien spadek w tempie przyrostu ludności. Cała różnica polega na tem, że wyludnianie przybrało w tym kraju rozmiary tak rozległe, iż zatrwożyło patryotów, gdzieindziej zaś wzrost roczny jedynie osłabł. Wszędzie, wśród pobudek, skłaniających rodziców do miewania mniejszej liczby dzieci, na pierwszem miejscu stoi obawa wyrzeczenia się z jednej strony „tysiąca drobnych rzeczy, które stanowią istotę zbytku," z drugiej zaś chęć kobiety skosztowania życia indywidualnego. Są to sprężyny, niemające nic wspólnego z troską o powszedni kęs chleba. Rzeczywistość zadaje kłam wszelkim wywodom, które broniły przeludnienia jako żelaznego prawa przyrody społecznej. Świadomość ludzka, znalazłszy się w pewnem otoczeniu społecznem, dochodzi do postanowienia, przełamującego to prawo, i wykazuje, że było ono niczem innem, jeno wynikiem wielu czynników, w których liczbie znajdowały się zależne od materyalnych warunków bytu. Postępowanie zaś takie, w obecnej dobie historycznej obliczone jedynie na wyzwolenie kogoś z pod jarzma obowiązków nadmiernych i pochodzące z pobudek nawskroś samolubnych, wśród których nadaremnie poszukiwalibyśmy choć źdźbła myśli o rzeczy publicznej, przygotowywa jednak grunt pod inną epokę, gdy na podłożu wiedzy o przyrodzeniu ludzkiem oraz zwyczajów chwili tegoczesnej, ukaże się świadoma antropotechnika wraz z odpowiednimi poglądami moralnymi. Tylko tym rodzicom wewnętrzne *imperativum* moralne pozwoli podówczas miewać potomstwo, którzy odznaczają się silnem zdrowiem fizycznem i pewnym poziomem uzdolnień umysłowych, wykluczy natomiast tych, którzy dzieciom mogą przekazać tylko sterane siły, przedewszystkiem zaś mało giętkie i pojemne mózgi. Człowiek wtedy zacznie świadomie kształtować przymioty swoje, używając doboru małżeńskiego jako dźwigni, tak samo jak dzisiaj rozkazuje już siłom żywej, organicznej przyrody w ogrodach i oborach. Idea ta o świadomej antropotechnice powstała pod wpływem doświadczeń zootechników. Natura rozwijała dotychczas wyższe kształty żywiołowo, nie mając na celu wygód i dostatków człowieka, oraz narzucając istocie ludzkiej dowolne instynkty i przymioty. Zootechnika zwiastuje okres, w którym przerództwu gatunków będzie przywodziła wola ludzka, na pewnym zaś szczeblu swego rozwoju i wśród stosunków, ukrócających żywiołowe potęgi ekonomiczne, doprowadzi do antropotechniki. *Self-restraint* neomalthuzyanistów, pozbawiony zresztą wszelkiej barwy ascetycznej, stanie się dźwignią udoskonalania rodu ludzkiego.

Ż.

*) E. Maurel: *De la depopulation de la France. Etude sur la natalite.* Paryż, 1896.

LITERATURA I SZTUKA.

ROZWÓJ SPOŁECZNY I LITERACKI.

(Dokończenie).

Widzimy w rezultacie, iż cały ten ruch artystyczny i literacki XII i XIII stulecia należy raczej do zarania Renaissance'u, niż do wieków średnich, iż on przypada na epokę rozkładu społecznego. Dodajmy, iż zakończył się, jak tylko się rozpoczęła synteza moralno-społeczna. To wyprawa przeciw Albigeńczykom i Inkwizycya spętały jednostkę i zabiły sztukę na południu Francyi. Tego samego celu dopięło w sto lat potem zgnębienie komun na północy. Następują dwa stulecia rozwoju spokojnego, organicznego. Sztuki niema. Zamiast jednostek wyższych znajdujemy grupy pracowite.

Wielki okres rozkwitu literatury francuskiej za Ludwika XIV przypada także na czas rozkładu społecznego, spowodowanego — nie mówiąc już o wpływach Renaissance'u włoskiego — przez wszystkie zatargi wewnętrzne tego panowania, głównie jednak przez naruszenie równowagi pomiędzy dwoma czynnikami etnicznymi narodowości francuskiej, germańskim i łacińskim. Reformacya była fermentem rozkładowym, który naruszył harmonię tych czynników i doprowadził do wytępienia

jednego z nich, germańskiego, gdy protestantyzm był ostatecznie wyparty i zwyciężony.

Najwyższy moment walki tych dwu czynników etnicznych za **Ludwika XIV** był zarazem momentem najwyższego rozkwitu literatury francuskiej. Teatr Racine'a, Corneille'a jest ostatecznym pożegnalnym uściskiem dwóch pierwiastków rasowych, gwałtownie rozłączonych przez niesnaski religijne. Od tego czasu zaczyna się upadek literatury francuskiej: czynnik łaciński suchej logiki i racyonalizmu stanowczo przeważa, natomiast czynnik germański fantazyi, intuicyi, stanowczo zanika.

Objaśnijmy to bliżej. Czem jest inteligencya, logika? Zepsuciem instynktów, uczuć, które się stają coraz bardziej oderwanymi, wynaturzonymi, pod wpływem rozwoju społecznego, postępu cywilizacyi. Logika wciąż się rozwija, natomiast wszystkie źródła poezyi, uczucie, fantazya, intuicya coraz bardziej wysychają. Ostatniem ich schroniskiem i kryjówką jest lud i dzieci. Jakaś stara chłopka, znachorka, mając głowę napełnioną przesądami, zabobonami, bajkami, jest jedną z najpoetyczniejszych postaci naszych czasów, a chłop brudny, nieokrzesany, brodaty, wyjęty z zapadłego kąta, porosłego mchem czasu, jest z punktu widzenia piękna tysiąc razy wyższy, niż mieszczuch wygolony, wystrojony i lśniący najświeższemi zdobyczami gazet, jak nowiutki trojak. Stara, potłuczona szyba, spalona słońcem, pokryta mieniącemi się tęczami i pajęczyną, bardziej przemawia do naszej wyobraźni, niż najczystsza tafla szklana magazynu. A dzieci! Czyż taki Heine stary, złamany chorobą, przykuty do łoża Łazarzowego i mający swą siwą głowę napełnioną legendami, baśniami, rusałkami czeszącemi zielone włosy złotym grzebieniem, nie czyni rozczulającego wrażenia, wrażenia dziecka? Tak, dzieci i lud—to jedyne jeszcze żywe zdroje poezyi i gdy my, uczestniczący w „postępie,“ mamy głowę przepełnioną nieinteresującą prozą sztucznych rupieci, lud pozwala duszy swej porastać najbujniejszą roślinnością. To nie my, lecz on właściwie uprawia kult swego „ja“ — nieświadomie — i pozwala strumieniowi poezyi płynąć swobodnie, gdy my musimy trząść się nad każdą jego kroplą. Jakże mi żal tych zapadłych kątów, z których na pewno wkrótce nic nie pozostanie—trochę wspomnienia, jak ten dym złotawy, jedyny ślad rodzin jakiegoś choćby Polesia, opisanych niegdyś tak rozkosznie przez starego Kraszewskiego. Przykro pomyśleć, iż nie możnaby nawet odnaleźć siedzib, w których mieszkały te bogobojne rodziny i gdzie naraz meteorem przebiegała jakaś piękna uwodzicielka, pozostawiając smugę niepokojów, potarganych nadziei i zwiędłych uczuć. Czy możebne, aby to wszystko znikło, jak dym papierosa, który palę, myśląc o wszystkich tych ważnych sprawach? Jakże mi żal, że rok rocznie ciągną do miasta tysiące chłopów i że cała ta poezya zamieni się z czasem na surdut, a — kto wie? — może i na lakierki, cylinder, dobre maniery i dystynkcyę?

Wszystko to służy tylko za dowód, iż cywilizacya — której, i owszem, pragniemy — postępowała dotychczas drogą gospodarstwa rabunkowego i, dążąc do określonych celów, niszczy po drodze wiele skarbów drogocennych. Najlepszym tego dowodem jest właśnie literatura francuska. Czynnik łaciński otrzymała ona w spuściznie po starej Romie, która już przed dwoma tysiącami lat umierała od nadmiaru cywilizacyi i kultury. W narodowość francuską wsiąknęły nietylko niektóre jej pierwiastki etniczne wyczerpane, ale także w znacznej części język, który posiadu zawsze określoną psychikę, ślad całego rozwoju społecznego. Już u swych źródeł język francuski miał tę jasność, logiczność, ale i suchość, które są jedną z jego zalet, lecz zarazem i przyczyną jego nie-poetyczności.

Wady te były po części okupione i zrównoważone przez inne czynniki etniczne: keltycki i germański Franków, które odznaczały się zupełną jeszcze świeżością. Bo gdy Rzymianie umierali, ziewając z nudów i nadmiaru logiki, Germanowie zwycięzko wkraczali w ich stolicę, napół obnażeni, przykryci skórami zwierzęcemi. Czem dotychczas literatura niemiecka różni się od francuskiej? Obecnością fantazyi, intuicyi, uczucia, wszystkiego, co nazywamy *Gemuth*'em, i z czego we Francyi nic już nie pozostało. Ale w wiekach średnich umysłowość nierozłożona niemiecka i keltycka połączyła się z logiką, jasnością łacińską i ten związek dał nam właśnie rozkwit literacki i artystyczny Francyi z XII i XIII w. Przyczyny społeczne przytłumiły z czasem całą tę roślinność, a waśń religijna zaczęła podkopywać sama jej korzenie, narażając równowagę czynników etnicznych. Jak rzekliśmy, ostatnim przebłyskiem ich związku, pieśnią pożegnalną był dramat francuski z czasów Ludwika XIV. Od tego okresu, wraz z ubezwładnieniem czynnika germańskiego, łaciński bierze stanowczą przewagę i literatura francuska staje się coraz bardziej suchą, logiczną, powierzchowną. Francuzi poezyi nie mają dlatego, że wielowiekowy rozwój społeczny rozłożył wszystko, co w nich było niewyraźnem, niewymownem, na jasne, określone pojęcia — za to w dziedzinie prozy i elegancyi formy są mistrzami niezrównanymi. Prawdopodobnie i Niemcy i Słowianie dojdą kiedyś do tego punktu rozwoju, jeżeli *ub.* nauka nie wynajdzie poprzednio należytej hygieny duchowej i nie zamieni obecnej rabunkowej, ekstenzywnej gospodarki na intenzywną, która powinna hodować wszystkie strony ducha i nie spuszczać z oka oddalonej przyszłości dla natychmiastowych zadośćuczynień. Francuzi rozumieją swe nieszczęście i na gwałt chcieliby wprowadzić czynnik fantazyi, uczucia, intuicyi, wogóle młodości do swej literatury. Niestety, jest już prawdopodobnie za późno. Weźmy chociażby takiego A. France'a: cała jego działalność literacka na tem właśnie polega. Jestem jednym z jego wielbicieli, ale muszę przyznać, że to jego ciągłe szczebiotanie *à la bébé* czyni w końcu wrażenie nużące i niecierpliwiące.

L. W.
Dr. es lettres.

Z NIEMIEC.

Berlin, 10 listopada.

Lat sześć upływa wkrótce od owego wieczoru, kiedy Berlin wieńczył Sudermanna jako największego współczesnego dramatopisarza Niemiec. Publiczność rzęsistymi oklaskami wtórowała pierwszemu przedstawieniu „Honoru,“ a krytyka nazajutrz ogłosiła dramat za nieśmiertelny i przepowiadała autorowi wielką, świetlaną przyszłość. Zaczęto gorliwie odczytywać jego prace, które przedtem uszły uwagi ogólnej, jako utwory autora bez firmy. „Kuma troska,“ rzecz prawdziwie poetyczna i piękna, napisana przed „Honorem,“ wyszła po przedstawieniu tego dramatu w 32 wydaniach. Słowem, Sudermann stał się chlubą Berlina. Spodziewano się po nim, iż na skrzydłach geniuszu wzleci ku podniebiańskim sferom poezyi i stamtąd zanuci swe nieśmiertelne pieśni, których tak dawno nie wydobywała z piersi swojej muza niemiecka. Lecz nadzieje te nie ziściły się. Sudermann czynił wprawdzie wszelkie usiłowania, aby utrzymać się na szczycie swej sławy, a jednak blask gwiazdy jego przygasał z dniem każdym. Późniejsze utwory dramatyczne bynajmniej nie ustępowały „Honorowi.“ „Koniec Sodomy“ jest dziełem nawet daleko większego talentu. Brakło mu tylko jednej rzeczy, która składa ręce publiczności berlińskiej do oklasków, a z gardła wydobywa entuzyastyczne okrzyki: nie był on udramatyzowanym artykułem wstępnym *Vossische Zeitung* lub innego poczytnego pisma; nie był oddźwiękiem jednego z haseł politycznych, dla których staczają się walki w gazetach, parlamencie, przy zielonym stoliku i w knajpach. W swym pierworodnym dramacie Sudermann ogłaszał względność honoru i krytykował go zwłaszcza w pojęciu, nadawanem mu przez kodeks butnego junkierstwa pruskiego. Satyra była na rękę opasłym bankierom, radcom handlowym, adwokatom, stanowiącym to, co się nazywa „tout Berlin“ w pięknym żargonie recenzyj teatralnych *Tageblattu*, gdzie przez długi czas składał ofiary swej muzie, a raczej rzucał *margaretam ante porcos* Sudermann. Fakt ten dostatecznie tłomaczy powodzenie „Honoru,“ a zarazem obojętność, z którą przyjęto inne dzieła głębsze i napiętnowane większym talentem autora. „Koniec Sodomy“ i „Walka motyli“ zawiodły jego oczekiwania do tego stopnia, iż swoje „Szczęście w zakątku“ wystawił po raz pierwszy w Wiedniu, gdzie publiczność odznacza się większą inteligencyą. Glejt wiedeński na niewiele mu się przyda. Publiczność odwróciła się od niego i hojnie obdarzyła łaską swą Hauptmanna, który, choć mniej utalentowany, potrafił wysnuć ze swej wyobraźni utwór, potrącający o najbardziej drażliwą kwestyę doby dzisiejszej. „Tkacze,“ grani w ostatnich trzech latach kilkaset razy, wciąż nie schodzą z afiszów. Wawrzyny Hauptmanna nie dały spać Sudermannowi. Naraszcie wystąpił i on z nową pracą. Nie jest to utwór jednolity, lecz trójlistek dramatyczny, składający się z trzech jednoaktówek, które powiązał wspólnym tytułem „Morituri!“ Długo a wiele medytowano nad tym szumnym i wiele dającym do myślenia tytułem. Nie przypuszczano bowiem, że ma on oznaczać tylko jedność formalną, polegającą na tem, że bohaterowie wszystkich trzech sztuk zaglądają śmierci w oczy. Krytycy suszyli sobie głowy, aby doszukać się wspólnego głębszego tła, lecz po długiem błąkaniu się na manowcach zrezygnowali z przypuszczenia, jakoby Sudermann chciał oświetlić pewną myśl z trzech rozmaitych stron lub odtworzyć ją w trzech środowiskach rozmaitych co do przestrzeni i czasu. Publiczność okazała się tym razem łaskawszą, gdyż zaszczyciła przedstawienia pełną kasą — a to jest jedyny miernik powodzenia sztuki. Co właściwie tak przychylnie usposabia „tout Berlin“ dla utworu Sudermanna, trudno się domyśleć; prawdopodobnie sztuka środkowa, „Fritzchen,“ gdzie autor znowu oświetla sprawę pojedynku, poruszającą do głębi duszy mieszczucha berlińskiego, zacierającego ręce z radości, gdy jakiś autor przypina łatkę junkrom. Wielu krytyków zachwyca się filigranową pięknością trzeciego „scherzo“ dramatycznego p. t. „Wieczna męzkość,“ lecz tego rodzaju misterne i pomysłowe rzeczy nie przemawiają do umysłu gruboskórej publiczności „premierowej“ Berlina.

Teja, król gotycki, bohater pierwszej sztuki, osaczony przez wrogów, oczekuje u morza przybycia okrętów, któreby go zabrały wraz z wojskiem. Ulegając woli poddanych, powołujących się na starodawny zwyczaj, poślubia Batbildę, dla której nie żywi jednak sympatyi. W dzień ślubu przybywa okropna wieść, iż okręty zaginęły. Król przekonywa swoje wojsko, iż śmierć z mieczem w ręku jest godniej-

szą walecznego żołnierza, niż sromotne życie w niewoli. Wojownicy żegnają się przed zgonem z żonami i dziećmi. Tylko Teja nie chce widzieć swej małżonki. Batbilda atoli zjawia się sama nieproszona w namiocie wodza, aby go pokrzepić jadłem przed śmiercią, a wtedy on, olśniony jej urokiem, ujęty ciepłem jej serca, poznaje jej wartość i w obliczu śmierci upaja się jej miłością. Sztuka nie sprawia należytego wrażenia i zawdzięcza oklaski grze sławnego artysty Kainza, który w sposób genialny odtwarza zmianę, zachodzącą w duszy Tei. Razi przedewszystkiem anachroniczna charakterystyka osób, przemawiających często językiem schyłkowców XIX w.

„Fritzchen“ nazywa się druga jednoaktówka, ochrzczona, podobnie jak i pierwsza, nazwiskiem swego bohatera *). Młodziutki oficer, Fryc, który pali kopereczaki do swej kuzynki, otrzymuje radę od ojca, aby przed żeniaczką rzucił się w wir przygód i wyszumiał. Posłuszny syn zapuszcza się w miłostki i wreszcie zostaje schwytany na gorącym uczynku przez męża jednej z uwodzonych kobiet. Mąż rozprawia się z Don Juanem w sposób niezbyt delikatny. Skompromitowany młodzik widzi, iż tylko pojedynek może naprawić jego nadwyrężoną reputacyę. Przed fatalnem rozwiązaniem położenia chce się pożegnać z rodziną. Ta właśnie scena została przedstawioną w sztuce. Matka przywiązana ślepo do swego benjaminka, nie odgaduje niczego; ojciec jednak przeczuwa, co się święci i wnet udaje mu się wydobyć od syna całą prawdę. Tragizm polega na przeświadczeniu, iż on swemi radami spycha swe dziecko do grobu. Na zakończenie oświadczają się sobie wzajemnie w miłości Fryc i ubóstwiana kuzynka. Szczególnie udatną wypadła tu charakterystyka ojca Fryca, byłego uwodziciela o tyle szczęśliwszego niegdyś od syna, iż jego polowania na serca kobiece nie wplątały go w sieć staré, z których niema wyjścia.

W „Wiecznej męzkości“ stary król ma za żonę młodą, piękną kobietę. Dworzanie smalą do niej cholewki, a królowa bawi się ich uczuciami. Nareszcie gra ta obrzydła jej i kokietka zapragnęła silnej, szczerej namiętności. Oddaje więc swe serce przepadającemu za nią marszałkowi, którego otacza sława zwycięzkich bitew. Lecz na nieszczęście znajduje się tuż pod ręką przy dworze malarz zupełnie obojętny na wdzięki królowej. W piersi jego bije gorące młodzieńcze serce, którego świeżość kusi do tego stopnia królowę, iż postanawia go zwabić w pułapkę miłosną. Artysta rozkochuje się w królowej, daje się unieść swym uczuciom i w chwili, gdy na dowód wzajemności ma otrzymać całusa, zjawia się marszałek, przysłany przez złośliwych dymisyonowanych wielbicieli. Królowa zatrzymuje marszałka i oddaje młodego zapaleńca na pastwę gniewu dygnitarza. Lecz malarz usiłuje go przekonać o nicości uczuć królowej. Udaje mu się wreszcie namówić rywala do urządzenia sceny, która ma odsłonić rzeczywiste serce kokietki. Przeciwnicy mają się pojedynkować, a marszałek udawać ginącego od zabójczej kuli przeciwnika. Pojedynek odbywa się, a królowa rzuca się na szyję wrzekomemu zwycięzcy. Widzi atoli oburzona, jak marszałek zmartwychwstaje i obrzuca ją pogardą. Udaje on się wreszcie na wygnanie w towarzystwie byłego współzawodnika. Przy dworze pozostaje kamerdyner „piękny Jan,“ który po czasowym stanie spoczynku i niełaski znowu obejmuje opróżnione stanowisko jako jedyny godny przedstawiciel „wiecznej męzkości.“ Złośliwa ta drobnostka jest napisana pięknymi wierszami. Nie potrzeba być głębokim znawcą duszy kobiecej, aby domyśleć się, iż niewiasty oburzyły się na Sudermanna, choć wypowiedziane przez niego poglądy są tak stare, jak świat i będą tak długo miały racyę bytu, dopóki będą istniały kobiety. Niedawno ogłoszona historya George Sand z pięknym półgłówkiem dr. Pogello, któremu się oddawała wielka autorka przy łożu swego śmiertelnie chorego kochanka, Alfreda Musseta, dowodzi tej prawdy. „Morituri“ Sudermanna — jak rzekliśmy wyżej — mają względne powodzenie; nie należy jednak nadawać temu wielkiego znaczenia, wiedząc, jakie okoliczności i drugorzędne czynniki odgrywają rolę w tych wypadkach i jak w świecie teatralnym działa obok reklamy i protekcyi potężna klaka.

Z powodu upadku jednej z wystawionych sztuk, ogłosiła w pismach dyrekcya niedawno powstałego „Teatru Zachodu“ (Theater des Westens), iż publiczność została wprowadzona w błąd przez gwizdanie klaki. Cztery agentury „klakowe“ nadesłały swe oferty wstępującemu w życie teatrowi; odprawione z kwitkiem oświadczyły, iż będą się mściły wszelkiemi siłami. Skoro istnieją aż agentury, dostarczające rąk do obowiązkowych oklasków, można więc z góry powziąć pojęcie o tem, jak wielki wpływ wywiera blaga i oszczerstwo na działalność teatru. Kto jednak nie wiedział o tem, temu powinna spaść z oczu opaska naiwności i złudzenia, skoro weźmie do rąk broszurę, wydaną przez ex-dyrektora wspomnianego teatru, Pawła Blumenreicha. Opowiada on, jak wraz z budowniczym Schringem zbudowali największy i najpiękniejszy w Niemczech teatr, nie mając ani grosza w kieszeni. Kosztorys wynosił 2½ miliona marek, a pomimo to przedsiębiorstwo przyszło do skutku. Autor krok za krokiem prowadzi nas po krętych drogach, któremi doszedł do celu. Urządzano baliki, na które zapraszano wraz z drużyną literacką świat kapitału. Jeden lub drugi ze spółki odnajdywał klucz lub wytrych do zamkniętego na siedem spustów serca bankierskiego. W salonie, oświetlonym tajemniczem światłem i obwieszonym gazą, która sprawiała złudzenie obłoków, prowadzili propagandę obaj projektowicze. Nie zawsze to skutkowało. Postanowiono więc stworzyć towarzystwo akcyjne. Ażeby zwabić członków, należało roztrąbić o przedsiębiorstwie. Wtedy p. Blumenreich ogłosił, iż przy mającym powstać teatrze będzie stale funkcyonowała „nadzorcza rada literacka,“ składająca się z takich koryfeuszów dramatycznych, jak Sudermann, Fulda, Wolzogen, Hauptmann i Hopfen. Oczywiście wszystko to było, co się zowie, humbugiem. Albowiem, jak twierdzi Blumenreich, w najlepszym razie członkowie „rady“ wypełnialiby repertuar swemi sztukami, a w razie gdyby jeden z nich górował nad kolegami powodzeniem, z pewnością postarałby się pozbyć swych kolegów, jeśliby go przedtem nie usunęli zazdrośni współzawodnicy. Na wszelki wypadek Blumenreich udał się do wymienionych autorów ze swą propozycyą. Sudermann odmówił wręcz, Hauptmann zaproponował, iż chciałby wziąć teatr w dzierżawę dla swych własnych utworów, Wolzogen zgodził się pod warunkiem, iż zamianuje się go dyrektorom rady, jako „jedynego kompetentnego w sprawach teatralnych,“ za co ma pobierać pokaźną pensyę. Hopfen odrazu pokazał swe karty i zażądał 15,000 marek rocznie, a oprócz tego 35% czystego dochodu. Oczywiście cały pomysł spełzł na niczem. Prasa pomimo to trąbiła o radzie literackiej i „Teatrze Zachodu,“ który będzie ósmym cudem świata. Nastąpiła uroczystość położenia kamienia węgielnego. Blumenreich napisał mowy, wygłosił sam jedną z nich, a przy innej odgrywał rolę suflera dla natchnionego mówcy, który drżącym ze wzruszenia głosem prawił wobec zaproszonych przedstawicieli inteligencyi i kapitału o szczytnych zadaniach teatru. Blumenreich wynajął olbrzymie mieszkanie po to, aby dać prasie temat do reklamy. Wspólnik Schring bowiem zajął się jego urządzeniem, co miał wykonać w sposób genialny. Klawiatura prasy zabrzmiała znowu hucznymi akordami. Pomimo iż rozpoczęto dopiero budowę teatru, abonament na cały rok został już wyprzedany. Blumenreich i Schring miewali odczyty o przyszłym teatrze: jego programie, budowie, personelu, dekoracyach itd. Dzięki temu łatwo było założyć towarzystwo akcyjne, oczywiście nawpół fikcyjne. Barwnie i żywo szkicuje autor sylwetki osób, które znalazły tu grunt dla swej działalności. Szczególnie interesującą osobistością jest dyrektor Kaufmann, sędzia handlowy, członek niezliczonego mnóstwa redakcyj, dyrekcyj teatralnych, towarzystw akcyjnych i wreszcie — *last not least* — szuler. Teatr zaroił się od pasorzytów zwłaszcza od czasu, gdy dyrekcyę oplątali lichwiarze pierwszej wielkości.

Kiedy wreszcie przyjdzie mesyasz, który wypędzi handlarzy ze świątyni sztuki?

H. F.

*) Utwór ten przedstawiono świeżo w naszym teatrze Rozmaitości. *Red.*

POEZYE

Z GUYAU.

(Vers d'un philosophe).

Źródło.

Wązki strumyczek wody wypływał z fontanny;
Z głową odkrytą w słońcu, oparte o skały
I wsłuchane w szmer wody cichy, nieustanny,
Dziecko patrzyło pilnie, jak krople spadały...

Bydło już powraca powoli z pastwiska
I purpurą zachodu szczyt dzwonicy płonie...
Dziecko się pochylało, patrząc, czy już blizka
Woda brzegów dzbanuszka, który trzyma w dłoni...

Znacząc smugę z brylantów w powietrza błękicie,
Słońce się przeglądało w kropelek kryształe...
— Tak jak ten drobny strumyk, upływaj mi, życie!..

Czuję twoją ruchomą, wzbierającą falę,
I czasem, by zobaczyć, czy dzban napełniony,
Ciekawie i spokojnie patrzę weń z twej strony.

Skrzydło złamane.

Strumień unosi pióro białe,
Drobną kropelką krwi zroszony...
Płatku śniegowy, skrzydło małe,
Kto cię też stracił? Z której strony?

Nie wiem, bo pusta przestrzeń cała...
Czemuż mię smutek tak przejmuje?
Czyżby coś także uleciało
Z serca, którego pustkę czuję?..

Pióro wnet fale pochwyciły...
— Płyńcie me smutne myśli z niemi!..
Moje marzenia, śnie mój miły —
Wyście skrzydłami złamanemi.

Z LECONTE DE LISLE'A.

(Poemes barbares).

Morze.

Wielkie, spokojne w swej szarej opończy,
Próżno się po niem mój prześlizga wzrok,
Nic się nie wszczyna i nic się nie kończy,
Ani to świt — ni zmrok.

Srebrną się frędzlą nie bieli tu fala,
Gwiazdy nie patrzą w ten szarawy cień,
Nic tu nie gaśnie, nic się nie zapala —
Ani to noc — ni dzień.

Krzyk albatrosów nie mąci tej ciszy,
Ptaków wędrownych nie dolata śpiew;
Ucho szelesty niewyraźne słyszy —
Nudy to lot i wiew...

Ciężko łupina statku się kołysze...
Bezbarwnej wody nie porusza ster...
Jakby uśpiony przez tę wielką ciszę
Żaden nie zadrga szmer.

A na pokładzie zdrętwiałe i senne
Majtków postacie patrzą w szarą dal —
W znieruchomiałe te głębie bezdenne,
W martwy ten spokój fal.

Nagle — na wschodzie — jakby zbladły mroki—
Jakby leciuchny mgły się uniósł puch:
Jakby popiołu matowe obłoki
Dobry rozegnał duch...

Światło białawe mętnie się rozpływa...
Morze się srebrzy już ze wszystkich stron —
Stroi się w perły płowa jego grzywa,
Jasny przybiera ton...

Coraz to widniej na niebios przestrzeni —
Blaskiem łagodnym promienieje wschód...
Wszystko się w błękit, w mgłę srebrzystą mieni,
Księżyc wypływa z wód...

Tłom. *M. Z.*

O PRAWDĘ.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zechcesz Pan łaskawie zamieścić tych kilka słów w odpowiedzi na uwagę dr. Karola Hertza, że zestawienie spirytyzmu z geometryą transcendentalną „musi się wydać co najmniej dziwnem.“ Mniej ono jest dziwnem, niżeli się wydaje. Spirytyzm dla wyjaśnienia pewnych zjawisk tak rzeczywistych, jak i urojonych z zakresu patologii, ucieka się do przypuszczeń wręcz przeciwnych podstawom wiedzy ludzkiej; tak samo geometrya transcendentalna dla rozwiązania pewnych zagadnień, których nauka w obecnym stanie wyjaśnić nie może, przyjmuje w założeniu hipotezy nietylko dowolne, na niczem nieoparte, ale, co więcej, zadające gwałt najelementarniejszym zasadom naszego poznania. Mówić o przestrzeni, jako o jakimś bycie, mającym taki lub inny kształt i wymiar, prawić o niej, że jest płaską, albo też wklęsłą lub wypukłą, że może mieć dwa, cztery i więcej wymiarów, jest to zabawiać się w przypuszczenia, o których można z Krasickim powiedzieć: „Wszystko to być może, jednakże ja to między bajki włożę!“ Zresztą powinowactwo między geometryą transcendentalną, a spirytyzmem sami matematycy zaznaczyli, że wymienię takich, jak: Zoellner, Klein, Newcomb, którzy w zjawiskach spirytystycznych upatrywali doświadczalne stwierdzenie założeń geometryi transcendentalnej.

Wł. Kozłowski.
(*Lwów*).

W DALI.

Radom. Sąd okręgowy radomski w dniu 5 b. m., jak pisze *Gazeta* miejscowa, sądził ostatnią partyę robotników z garbarni Zofii Karszowej, Teodora Karsza, Wickenhagena i Froelicha, obwinionych o udział w strejku od 16 do 23 czerwca r. b. Na ławie oskarżonych zasiadło 17 robotników, z których większa część tłómaczyła swój udział tem, że inni nie przychodzili do pracy. Tak np. w garbarni Froelicha pracowali zawsze od godz. 6 zrana i nikt nie kazał im przychodzić o godz. 5, jak to zdarzyło się u p. Zofii Karszowej, a mimo to do roboty nie przyszli, gdyż, jak mówili, obawiali się gniewu strejkujących. P. Z. Karszowa zeznała, że, mając bardzo wiele zamówień, którychby robotnicy w zwykłych warunkach pracy wykonać nie zdołali, kazała im przychodzić do garbarni o godzinę wcześniej, nie podwyższając przytem płacy. Sąd okręgowy, po zbadaniu świadków i wysłuchaniu obrony adw. przys. Kobylińskiego i Brześcińskiego, skazał 10 robotników na 7 dni aresztu policyjnego, 7 uniewinnił.

Libawa. Komitet giełdowy czyni starania o ograniczenie dowozu zboża do portu. Dzięki środkom, przedsięwziętym dla niedopuszczenia gromadzenia się zapasów, napływ transportów jest tak wielki, że brak miejsca na ich pomieszczenie i statków do wywozu, wskutek czego ceny spadły o 10 kopiejek i spadną jeszcze więcej. Zdaniem komitetu, należy powrócić do dawnego porządku rzeczy. Komunikat urzędowy, donosząc o tem, powiada, że koleje w przewozie będą się stosowały do swoich środków i praw. Wysyłający transporty powinni pamiętać o tem, że koleje mogą zrzucić z siebie odpowiedzialność za terminową dostawę. Wogóle zaś niezbędnem jest prawidłowe zorganizowanie handlu zbożowego.

Petersburg. Ministeryum spraw wewnętrznych zwróciło uwagę na to, iż położenie finansowe większości miast nie odpowiada rozwijającym się potrzebom życia miejskiego i że miasta, w razie urządzania przedsiębiorstw użyteczności publicznej, muszą uciekać się do towarzystw akcyjnych i kapitalistów postronnych. W ten sposób w większości miast przeprowadzono wodociągi i kanalizacyę, zaprowadzono oświetlenie udoskonalone, koleje konne itp. przedsiębiorstwa, mające charakter handlowy i mogące przynosić miastom zysk. Inne znów budowy, jak: mosty, szpitale, urządzanie bruków itp., mające pierwszorzędne znaczenie dla zdrowotnych warunków miast, albo wcale nie są wykonywane z powodu braku środków, albo obciążają nadmiernie budżet miejski. To wszystko, zdaniem ministeryum, jest rzeczą nienormalną i dlatego też zaleca ono gubernatorom w ostatnim swoim okólniku, aby ci wpłynęli na zarządy miast w duchu możliwego ograniczenia koncesyjnego załatwiania potrzeb miejskich i doradzali natomiast organizacyę przedsiębiorstw na rachunek miast. Okólnik dodaje, że ministeryum spraw wewnętrznych przyjdzie z pomocą przy organizacyi przez miasta emisyj niezbędnych pożyczek, oraz samo dopomoże do urzeczywistnienia przedsiębiorstw. — Współpracownik *Rusk. Wiest.*, p. Malszynskij, otrzymał koncesyę na wydawnictwo dziennika *Rosya*.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Pogorzelcy Wielgolasu otrzymali od p. gubernatora warszawskiego rs 100, a nadto w parafii, gdzie im dozwolono zbierać składki, ukwestowali około 60 rs. Z pieniędzy przesłanych do naszej redakcyi (mianowicie: za pośrednictwem p. S. Dembego rs. 9 k. 47, pp. Obrębski rs. 1, O. P. rs. 3, Andrychewicz, dyrektor „Przezorności“ rs. 5, Sawicki, wicedyrektor Banku handlowego, rs. 20, z redakcyi *Kur. codz.* rs. 20 k. 50, obrończa kancelarya włościańska za pośrednictwem *Kur. warsz.* rs. 25, razem rs. 111 k. 24) dostali wsparcia najbiedniejsi i najbardziej poszkodowani: Konowrocki, Kudelski, Ładno i Cacko.

— Sprawcy katastrofy na kolei Warszawsko-Petersburskiej dyżurny zawiadowca stacyi Kuźnica, Butkiewicz, który pociąg wyprawił i telegrafistka, Andrejewowa, która zawiadomiła stacyę następną, że linia wolna, gdy właściwie była zajęta, otrzymali dymisyę do czasu wyjaśnienia ich winy.

— *Kuryer warsz.* podaje następującą wielce charakterystyczną wiadomość: „Wobec trybunału sędziów przysięgłych odbyła się rozprawa karna przeciw Kazimierzowi Ehrenbergowi, redaktorowi odpowiedzialnemu jednego z dzienników miejscowych, oskarżonemu o potwarz drukiem popełnioną a wymierzoną przeciw profesorom uniwersytetu, dr. Odonowi Bujwidowi i dr. Napoleonowi Cybulskiemu, którym Ehrenberg zarzucił, iż są „bezwyznaniowymi.“ Sąd przysięgłych na postawione pytanie co do winy oskarżonego dał odpowiedź przeczącą jednastoma głosami i na tej podstawie zapadł wyrok uniewinniający. Innego wyniku sfery interesowane się nie spodziewały, proces wszakże był przeprowadzony i przez oskarżycieli prywatnych podtrzymywany, celem zaprotestowania przeciw lekkomyślnemu, antagonizmem politycznym podyktowanemu zarzutowi, w miejscowych stosunkach stanowczo szkodliwemu dla ludzi, zajmujących wybitne stanowiska na katedrach profesorskich.“

— *Gazeta Polska* donosi, iż w Międzyrzeczu, pow. Radzyńskim, odkryto całą grupę lichwiarzy, na której czele stali Żydzi miejscowi: Czarny, Rozencwajg i bawiący tam za paszportem Sołowiejczyk. Każdy z nich prowadził swe operacye oddzielnie. Znaleziono u nich formalne książki buchhalteryjne, setki weksli i pewien rodzaj drukowanych książek, które wydawali ludziom, pożyczającym od nich pieniędzy. Z książeczek tych okazuje się, iż pożyczający np rs. 50, dawał weksel, obiecując spłacić na dług rs. 1 miesięcznie i kop. 18 tytułem procentu. U Sołowiejczyka znaleziono książeczek i weksli na sumę rs. 30,000 oraz wiele blankietów czystych, zaopatrzonych tylko w podpisy rozmaitych osób.

— W celu dostarczenia zarobku głodnej ludności, rząd indyjski zaciąga w Anglii pożyczkę na budowę kolei żelaznych. Koszty obliczono na 27 milionów rupij.

Posiedzenia. W sekcyi technicznej Towarzystwa przemysłu i handlu poruszono sprawę pośrednictwa w wyszukiwaniu pracy dla techników. Niby ono istnieje od lat paru, ale najmniejszego pożytku nikomu nie przynosi. Czy to brak zaufania zarobkodawców, czy inna jaka przyczyna? — Na tem samem posiedzeniu inżenier Knauff wygłosił ciekawy odczyt o zasadach najoszczędniejszego działania maszyn parowych i skutku przegrzewania pary.

— Na ostatniem posiedzeniu komitetu Kasy pomocy im. Mianowskiego dla pracujących na polu naukowem, wybrano: wiceprezesem komitetu d-ra Konrada Dobrskiego i członkiem (na miejsce wyszłego p. Piotra Chmielowskiego) p. Bronisława Chlebowskiego; zaproszono na sekretarza (na miejsce p. Libickiego, który nadal pozostaje członkiem komitetu) p. Feliksa Kucharzewskiego, członka tegoż komitetu.

Odczyty. W sali Muzeum przemysłu i rolnictwa p. Br. Znatowicz wygłosił odczyt popularny p. t. „Co można zrobić z węgla kamiennego?“ Oprócz charakterystyki samego materyału—węgla, prelegent opisał suchą dystylacyę, przemiany węgla, rozmaite ich produkty, gaz oświetlający, jego fabrykacyę, najgłówniejsze własności i użytek. Okazy, doświadczenia i tablice uzupełniały i uplastyczniały wykład bardzo zajmujący i pożyteczny. — Budowniczy, p. Ed. Goldberg w tej samej sali wygłosił odczyt o urządzaniu mieszkań naszych. Prelegent zwraca uwagę na zwyczaj niezgodny z hygieną, zajmowania najlepszych i najzdrowszych pokojów na salony, w których rzadko nawet domownicy goszczą, gdy tymczasem dzieci zwykle są umieszczane w najniezdrowszych i najciaśniejszych izbach.

Przemysł. Lwowski Bank hypoteczny i Bank kredytowy zawiązują „Pierwsze galicyjskie Towarzystwo akcyjne dla dystylacyi drzewa,“ z kapitałem tymczasowym 3,700.000 koron, który może być podwyższony do 12 milionów.

— Ministeryum rolnictwa podało projekt uproszczonej sprzedaży drobnych cząstek lasów i gruntów skarbowych.

Wystawa złocieni (chryzantemów) w Bagateli dowiodła rzeczywiście znacznego postępu w hodowli tych kwiatów, które do niedawna ze szczególnem zamiłowaniem i umiejętnością uprawiali na większą skalę tylko bracia Kaczyńscy. Obecnie firmy Ulricha, Hosera, Siedleckiego i in. przedstawiły okazy piękne i różnorodne. Do złocieni przyłączono troszkę wyborowych warzyw i owoców: te wszakże nie dały nam nic godnego szczególniejszej uwagi.

Zima. W północnych i wschodnich guberniach Cesarstwa tudzież na Syberyi rzeki stanęły. W wielu miejscowościach spadły śniegi obfite, sanna się ustaliła. Na Wiśle z powodu obfitej kry żeglugę zawie-[illegible]

Koncert. Doroczny wieczór benefisowy dyrektora Towarzystwa muzycznego, Zygmunta Noskowskiego, odbędzie się d. 25 b. m. w salach Redutowych.

Koleje i komunikacye. Koleje niderlandzkie podały wniosek wejścia w bezpośredni stosunek z drogami rosyjskiemi za pomocą Wiedeńskiej.

— Otwarto ruch prawidłowy osobowo-towarowy na odnodze Wołczańskiej kolei Kursko-Charkowsko-Sewastopolskiej.

— Wkrótce ustanowione będą bezpośrednie bilety pasażerskie z Odesy i Berdyczowa do Maryenbadu, Francensbadu i z powrotem, oraz powrotne z jednej strony pomiędzy stacyami austryackiemi. Alla, Bo-

zen, Rjeka, Abazia, Mori, Tryest, z drugiej — pomiędzy Petersburgiem, Moskwą, Rygą i Warszawą.

— Doniosłe ma znaczenie dla publiczności, jako zainteresowanej swem bezpieczeństwem i dla wielu pracowników, których losy mogą niepomyślnie się rozstrzygnąć — wniosek zaprowadzenia pewnych oszczędności w wydatkach, ponoszonych na utrzymanie personelu wydziałów ruchu i telegrafów. Oto pracę ludzką ma usunąć sygnalizacya automatyczna.

— Kolej Wiedeńska z powodu wzrastającego ruchu, ma od Nowego roku zwiększyć liczbę stałych konduktorów i maszynistów. Według zaś gazet rosyjskich, w r. 1897 postanowiono zwiększyć liczbę maszynistów i ich pomocników na wszystkich kolejach żelaznych.

Sztuki piękne. Doczekały się pomyślnego rezultatu zabiegi p. Juliusza Fałata o przekształcenie szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Na zasadzie nowego już zatwierdzonego statutu, powstaną dwie nowe katedry: rzeźbiarstwa (dotychczas istniała docentura) i malarstwa krajobrazowego. Następnie będzie zwinięty dotąd połączony ze szkołą osobny kurs dla nauczycieli rysunków, a natomiast powstanie specyalny oddział rysunków. Nauka w szkole trwać ma lat sześć; w wyjątkowych razach okres ten będzie przedłużony.

— P. Walerya Marrene-Morzkowska w *Kuryerze Warsz.* zaznacza brak u nas podręcznika, traktującego o sztukach pięknych. Z tego powodu, zdaniem autorki, pojęcie o tej dziedzinie piękna nie może u nas racyonalnie się rozwijać. W braku obszernej historyi sztuki pożytecznem byłoby przyswojenie obcego dzieła w tym zakresie.

— W Salonie artystycznym przy Nowym-Świecie otwarta będzie doroczna wystawa szkiców w pierwszych dniach grudnia.

— P. Michał Hertz na konkursie akademickim w Krakowie otrzymał nagrodę w sumie 100 koron za kompozycyę.

— W Salonie Towarzystwa sztuk pięknych wystawiono osiem rzeźb Biegasa.

— W Radomiu powstało Towarzystwo śpiewacze.

Wypadki. Na stacyi Ząbkowice kolei Wiedeńskiej, pociąg towarowy od strony Warszawy najechał na drugi towarowy, stojący. Dziesięć wagonów uszkodzonych, parowóz i 5 wagonów ładownych rozbitych. Jeden konduktor uległ silnej kontuzyi, inni ocaleli.

— W Piotrkowie na stacyi towarowej przy rozjazdach (wekslowaniu pociągu) rozbito parowóz i 4 wagony towarowe.

Zmarli. Edward Fierich, w Krakowie, długoletni profesor prawa cywilnego i prawa administracyjnego (od r. 1850) Akademii Jagiellońskiej. W r. 1869 wydał „Powszechny kodeks handlowy.“ Kilka razy był wybierany dziekanem wydziału prawnego i rektorem uniwersytetu. Żył lat 79.

— Bärwald, w Wilmersdorfie, rzeźbiarz niemiecki.

Odpowiedzi Redakcyi

Almie. Pojedyńcze wyrażenia i zwroty ładne, ale całość mętna nie tłómaczy się jasno ze swej myśli przewodniej.

A. Ż. we Lwowie. W nadesłanych wierszach nie dostrzegliśmy ani iskierki poezyi.

Dr. Winc. Karpińskiemu. Listu Pańskiego nie drukujemy, gdyż on zawiera tylko powtórzenie tego, co na podstawie poprzedniej korespondencyi Pańskiej napisaliśmy o gospodarce w dobrach Sobieszyńskich.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 8 Ноября 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.